

Baron Roman
von Ungern-Sternberg

Browar Zamkowy
w Cieszynie

Kolekcja
T. Działyńskiego

poszukiwania



Nr 06/2018 (45) czerwiec 2018
www.poszukiwania.pl

**Pamiętki
z polskiego dworu**



Redaktor naczelny:

Rafał Kruk
kroku@poszukiwania.pl

Zespół redakcyjny:

Weteryna
Mariusz Bąk
Marek Kulig
Niuniek
Tom
Robert Winkler

Współpraca:

Yedyny
Andrzej Szutowicz

**Zdjęcie na okładce
i zdjęcia w artykułach,
o ile nie zaznaczono inaczej:**

archiwum Portalu
Poszukiwania.pl

Reklama i Marketing:

redakcja@poszukiwania.pl

Redakcja:

redakcja@poszukiwania.pl

**Reprodukcja i przedruk
wyłącznie za zgodą autora.
Gazeta działa na zasadach
dziennikarstwa obywatel-
skiego otwierając swoje łamy
dla każdego autora.**

**Redakcja zastrzega sobie
prawo do redagowania
i skracania dostarczonych
tekstów.**

**Redakcja nie ponosi
odpowiedzialności za
treść reklam i artykułów
sponsorowanych.**

SPIS TREŚCI

4	Pamiętki z polskiego dworu	47	Strajki w Radomiu, Płocku i Ursusie
9	Chryścianizacja Polski	49	Monety Zygmunta I Starego 1506-1548 cz.2
12	Matematyka w badaniach Kopernika	59	Śmierć Kazimierza Jagiellończyka
18	Kopernik w Krakowie	61	Wojna krymska czyli szachy pod Sewastopolem
20	Odsłonięcie tablicy upamiętniającej 30. rocznicę strajków studenckich	71	Amunicja strzelecka. Austria
22	Odkrycie czaszki byka i rytualnych naczyń w Egipcie	75	Założenie Centralnej Biblioteki Wojskowej
24	Wystawa o wędrówkach ludów	77	Złożenie prochów Juliusza Słowackiego na Wawelu
26	Browar Zamkowy Cieszyn	79	Wystawa – Turcja. Zabytki UNESCO
31	Baron Roman von Ungern-Sternberg mongolskie bóstwo wojny ...	81	Trąby powietrzne w Polsce
35	Wołyń. Krwawa epopeja Polaków	85	3 oczywiste wakacyjne kierunki, które zwrócą Ci w głowie
36	Józef Beck	87	Stambuł – miasto, które musisz zobaczyć
38	Kolekcja Tytusa Działyńskiego dla Polski, nie dla siebie	90	Foki szare wracają do domu
45	Ryszard Kukliński		

Pamiętki z polskiego dworu



Starym, wysłużonym UAZ'em podróżowaliśmy ku nieznanemu, przez kraj zupełnie nam obcy, jednak historycznie z bliskimi sercu każdego Polaka ziemiami. Zapadający zmrok wymagał intensywnego wpatrywania się w drogę, w której asfalt wylewany był wokół wcześniejszych dziur. Na dodatek najwyraźniej zgubiliśmy drogę gdyż wieś, do której mieliśmy dojechać powinna pojawić się dobre 10 km temu.

Wszystko zaczęło się od głupiego postu zamieszczonego na jednym z kont popularnego serwisu społecznościowego polubionego poszukiwacza z zagranicy. Na umieszczonych zdjęciach pojawił się sporych rozmiarów gliniany kubek wypełniony srebrnymi monetami. Informacja do zdjęcia mówiła, że jest to depozyt polskich monet z okresu gdy terenem władali polscy ziemianie. Bardzo ciekawe znalezisko, spora ilość monet skłoniła nas do wysłania zapytania

czy depozyt jest do sprzedania. Otrzymana odpowiedź wyrwała nas z „polskiego nic nie robienia” w kilka sekund. W otrzymanym mailu zobaczyliśmy zdjęcia innych odkrytych zabytkowych przedmiotów. Czego tam nie było – broń biała, monety, porcelana (a dokładnie serwis złożony z kilkadziesiąt elementów), srebrne sztućce i piękna kolekcja orderów. Wszystko to opatrzone wymownym opisem typu: przedmiot

ze zdjęcia nr 4 cena ... nie mała i w dodatku podana w dolarach.

Pomimo późnej pory zadzwoniliśmy do zagranicznego kolegi w celu wyciągnięcia jak największej liczby informacji na temat tak bogatego depozytu. Skutek tego był taki, że znaleźliśmy już miejsce ukrycia depozytu – piwnice nieistniejącego już dworu polskiego szlachcica, za pewnym zagranicznym miastem, niedaleko wsi którą o dziwo udało się nawet odnaleźć na mapie.

Decyzja o wyjeździe zapadła bardzo szybko, dwa dni później siedzieliśmy już w busie zmierzającym do zagranicznego miasta, w którym oczekiwał nas znajomy z wynajętym samochodem terenowym w dobrej cenie. Na miejscu przekonaliśmy się, że w tym pięknym kraju dobra cena nie koniecznie musi iść w parze z dobrym sprzętem. W ten sposób staliśmy się użytkownikami UAZ'a na okres 7 najbliższych dni. Z zalet samochodu można wymienić dwie podstawowe – bardzo dobrze wyposażona skrzynka narzędziowa oraz dwa 20 l kanistry na paliwo. Pierwsza zaleta objawiła się ok. 20 km za miastem gdy zjechaliśmy z głównej drogi prowadzącej do stolicy kraju. Dziwnym trafem naszemu kierowcy podczas podjazdu do niewielkie wzniesienie pozostał drążek zmiany biegów w dłoni. Całą piątką oglądaliśmy zjawisko, robiąc sobie całkiem eleganckie selfi z drążkiem, jak i całym pojazdem. Na szczęście dla nas zatrzymał się po kilkudziesięciu minutach koło naszego kierowca, który po wymianie uprzejmości i poinformowaniu o zdarzeniu naprawił usterkę od ręki. Tym sposobem czas potrzebny na dojazd do celu za dnia stracił się niezauważony.

Wioski jak nie było wcześniej tak nie było jej po kolejnych kilku kilometrach. Posiadane mapy



wyraźnie wskazywały, że powinna być przy drodze którą podróżowaliśmy. Zgodnie z mapą za kilka kilometrów powinna być kolejna wieś. Jechaliśmy więc dalej do przodu, omijając dziury w drodze z prędkością pozwalającą w normalnych warunkach na swobodną jazdę rowerem. Nagle przed sobą dostrzegliśmy światło, które po podjechaniu okazało się oświetlonym oknem w chałupie. Ciemność, która panowała na dworze mocno nas trzymała w samochodzie, gdzie czuliśmy się bezpiecznie i w miarę pewnie. Dziwnie wspólnie zgodziliśmy się odczekać do rana i dopiero przy pełnym świetle dziennym podejść do chałupy i zapytać gospodarza o drogę do poszukiwanej wsi.

Jednak rano to nie my tylko nas odwiedził gospodarz. Na dodatek nie sam, a w asyście dwóch dryblasów z psami i siekierami w dłoniach. Zanim rozbudzeni zorientowaliśmy się co się dzieje, kierowca był już na nogach przy samochodzie, a kluczyki niebezpiecznie wylądowały w przepastnej kieszeni jednego z miejscowych.

Spokojnie wyszliśmy z samochodu i czekaliśmy na rozwój wypadków. Groźne miny nie wróżyły niczego dobrego więc trzeba było działać szybko. Tylko w jaki sposób wydobyć kluczyki z kieszeni wiejskiego osiłka? Cały czas milcząc wzrokiem szukałem ratunku, bez pomysłu na

rozwiązanie sytuacji, zrezygnowany powiedziałem do reszty chłopaków:

- No to jesteśmy w bladej dupie

Nagle, jak w Seksmisji, po podaniu poprawnego hasła sytuacja zmieniła się z napiętej typu zaraz dostaniemy po mordzie, na luzną w stylu chłopaki czekamy na Was ze śniadaniem i zapasem wódki. Miejscowi słysząc polską mowę zmienili zupełnie swoje podejście, mało tego najstarszy z nich mówił w miarę poprawnie po polsku. Polska blada dupa otworzyła serca nowopoznanych zagranicznych kolegów i to otworzyło bardzo szeroko.



Po wyśmienitym śniadaniu, które naprawdę było wyborne i kolejnej wymianie uprzejmości chcieliśmy uciekać do poszukiwanej wsi. Gospodarz, u którego przebywaliśmy koniecznie chciał wiedzieć po co przyjechalśmy i jakim cudem mamy takiego „rozpier... UAZ’a”, który nawet jak na ich wiejskie warunki nie nadawał się do niczego. Widząc, że szybko nie wyjedziemy rozpoczęliśmy opowieść pomijając fakt, że interesuje nas odkupienie polskich pamiątek od odkrywców i przekazanie ich odpowiednim organom licząc po cichu, że wrócą do Polski. Jedynie przekazaliśmy informacje o byłym polskim dworze i odkryciu monet.

Gospodarz zamyślił się i po chwili wyciągając cztery butelki samogonu powiedział żebyśmy się nie martwili on wszystkiego się dowie i załatwi sprawę tak żebyśmy byli zadowoleni. Strach nas obleciał niemały – na widok takiej ilości samogonu na stole plus spory zapas w spiżarni oraz powodu działań nowych znajomych, które mogły wystraszyć odkrywców. Na nic zdały się nasze protesty i nieszczęsne miny. Cztery butelki sa-

mogonu zniknęły szybciej niż wcześniejsze śniadanie. Gospodarz ubrał się, powiedział że będzie najdalej za godzinę, a my mamy czekać i częstować się jego produkcją. Normalnie po takim hasle na polskiej wsi obecnie człowiek myśli o mleku, serach czy wędlinach, u nich niestety chodziło o zawartość spiżarni. Cztery kolejne butelki na stole, w czterech różnych smakach, a po wypiciu i określeniu który smak jest ulubionym kolejna flaszka już do ręki.

Na trzeci dzień pobytu u gospodarza – tak, tak na trzeci dzień picia samogonu – wszyscy mieli już dość. Chcąc w końcu wyjechać tłumaczyliśmy, że kończą nam się urlopy, a nic nie załatwiliśmy. W tym momencie nasz nowy kolega powiedział, że on już wszystko załatwił i jak chcemy możemy pojechać z nim to pokaże nam co i jak. W ośmiu załadowaliśmy się do UAZ’a, wszyscy jeszcze na bani i o zgrozo z samogonem wystającym z kieszeni dwóch osiłeków. Na szczęście nikt z nas nie musiał prowadzić gdy za kółkiem usiadł nasz gospodarz.

Już po pierwszych kilkudziesięciu metrach przekonaliśmy się jakie z nas są sieroty. Gospodarz pomimo istniejącej drogi „asfaltowej” przejechał na pole, na którym było droga polna o niebo lepsza niż ta którą jechaliśmy. Po chwili byliśmy przed niewielkim wzniesieniem, na którym według wyjaśnień miejscowych miał przed wojną znajdować się dwór szlachecki. Obecnie nic nie świadczyło o tym, że kiedyś w tym miejscu znajdował się jakiegokolwiek zabudowania. Wysiedliśmy z samochodu, gdy niespodziewanie kierowca zawrócił i ... odjechał. Zaskoczeni staliśmy jak wryci, zupełnie zapominając że pozostało z nami dwóch miejscowych chłopaków. Wytłumaczyli nam, że gospodarz pojechał po gości, których szukaliśmy i przywiezie ich tutaj.

W oczekiwaniu na powrót gospodarza z odkrywcami skarbu postanowiliśmy troszkę poszperać po okolicy. Po wejściu na wzniesienie oczom naszym ukazały się zapadliska prowadzące do dworskich piwnic. Z latarkami w dłoniach weszliśmy do środka licząc na jakieś spektakularne odkrycia. Zawiedzione miny były idealnym odzwierciedleniem naszego badania. Pod ziemią udało się dostać do jednego pomieszczenia piwnicznego gdzie z dwóch stron po zapadnięciu stropów pojawiło się osuwisko cegieł i ziemi.

Być może za jednym z osuwisk byłyby kolejne pomieszczenia jednak nie mieliśmy ani czasu ani sprzętu aby rozpocząć akcję odgruzowywania piwnic. Wróciliśmy do naszych zagranicznych kolegów, którzy podczas naszych poszukiwań zebrali drewno, rozpalili ognisko i smażyli kiełbasy.

Po dobrej godzinie ukazał się naszym oczom sznur trzech aut na czele z naszym gospodarzem. Z dwóch pozostałych samochodów wysiadło sześciu facetów w wieku ok. 20-25 lat. Piątka ubrana jak na kolejną wojnę w Afganistanie z przywódcą mogącym być posądzonym o terroryzm Palestyńczykiem – z tą różnicą, że do pasa miał przytwierdzone wszystko oprócz ładunków wybuchowych. Gospodarz zobaczył nasze zdziwione miny na widok przyjezdnych i jedynie uśmiechnął się pod nosem.



Szef odkrywców posługujący się inicjałami WJ (czyli Władek J.) przeszedł od razu do rzeczy pytając co nas interesuje. Zgodnie z prawdą odpowiedzieliśmy, że wszystko co jest związane z polskimi pamiątkami. Jedno jego skinięcie wystarczyło aby dwóch afgańców poleciało do bagażnika i przyniosło skrzynkę, której zawartość po uchyleniu wieka odjęła nam mowę. Jakby tego było mało dwójka poleciała znów do auta i przyniosła drugą taką samą skrzynkę. WJ widząc nasze rozdziawione miny zaczął wyciągać i prezentować poszczególne przedmioty. Jednak gdy chcieliśmy wziąć cokolwiek do dłoni zabraniał, tłumacząc że tylko on może do czasu zakupu dotykać tak cenne eksponaty. Po tym jak zapłacimy jego nie interesuje już kto i ile razy będzie kładł łapska na tak pięknych artefaktach. Początkowo przyjęliśmy tłumaczenie za logiczne i dalej oglądaliśmy kolejne zabytki wyciągane ze skrzynek. W ten sposób doszliśmy do prezentacji

monet, które zostały wyciągnięte z ... sakiewki. Człowiek dbający o inne zabytki wręcz pedantycznie nagle wyciąga sakiewki z monetami, potrząsa nimi, wysypuje na rozłożoną na ziemi reklamówkę i ... dalej nie pozwala ich dotykać bo można je zniszczyć. Coś tutaj było nie tak i w każdym z nas zapaliła się czerwona lampka.



Poprosiliśmy o kilka minut na naradę, które zabytki będziemy kupować i oddaliliśmy się na kilka kroków. Jak jeden mąż w tym samym czasie każdy z nas wystrzelił z tekstem, że coś tutaj nie gra. Dziwne zachowanie WJ, czterech dryblasów od niego stojących cały czas lekko z boku wzbudziło w nas podejrzenia. Tylko jak postawić na swoim, jak zmusić ich do tego, że chcemy obejrzeć dokładnie przedmioty, co się może stać jak powiemy, że się wycofujemy. Ich jest pięciu, młodych byków. My w obcym kraju, na totalnym zadupiu, z odkrytą piwnicą dworku, w której nikt nas nigdy może nie znaleźć. No i podstawowe pytanie, co zrobią nasi poznanie nie tak dawno kompani. Do tej pory nie wykazywali zainteresowania siedząc dalej przy ognisku wraz z gospodarzem.

Postanowiliśmy postawić wszystko na jedną kartę. Podeszliśmy do gospodarza i wyjaśniliśmy mu nasze obawy co do zabytków i zachowania przywiezionych przez niego odkrywców. Gospodarz wysłuchał, skinął na chłopków siedzących przy ognisku i podeszli w trójkę do WJ i jego ekipy. Dosłownie po pięciu minutach mogliśmy dowolnie przeglądać i dotykać wszystko co było w skrzynkach.

Mając możliwość dokładnego przyjrzenia się zabytkom od razu w oczy rzuciły się lipne monety. To nawet nie były falsyfikaty tylko jakies totalne wydmuszki z Chin. Dziękowaliśmy Bogu, że mieliśmy zasięg i mogliśmy je sprawdzić. Szybko też okazało się, że również orderki są falsami. Tego było już za dużo i głośno wyjaśniliśmy, że nie jesteśmy idiotami i nie damy się oszukać. Ledwo skończyliśmy krzycheć na WJ, a

jego czterech kolegów leżało już powalonych przez dwójkę naszych kolegów z zagranicy. Gospodarz trzymając WJ za gardło zadawał ciągle jedno pytanie – jak śmiało oszukać jego przyjaciół z Polski. Twarz WJ wyrażała daleko idące przeżalenie, a usta próbowały przez ściśnięte gardło wyrzucić przeprosiny. W końcu gospodarz go puścił, kazał zebrać kolegów i tłumacząc na język Polski – szybko uciekać do samochodów.

Nagle gospodarz krzyknął coś do WJ i ten zawrócił. Po szybkiej wymianie zdań między nimi, WJ podszedł do nas i zapytał jakie ponieśliśmy koszty przyjeżdżając do nich. Bo on chętnie ureguje wszystkie wydatki. Szok, tego się nie spodziewaliśmy. Nie chcieliśmy od niego żadnych pieniędzy. Wówczas zostaliśmy zaskoczeni po raz kolejny. WJ podszedł do drugiego samochodu i wyciągnął z bagażnika karton z porcelaną. Postawił się przed nami i powiedział, że daje nam ją w prezencie żeby zatrzeć złe wrażenie, szybko dodając że ona jest prawdziwa i wyciągnięta dworu zaraz po tym jak żołnierze radzieccy zajęli majątek.

Okazało się, że porcelana została w ramach wymiany barterowej oddana miejscowym chłopom za samogon, który był najbardziej uniwersalną walutą podczas wojny. Zgodnie z opowiadaną historią dziadkowie WJ mogli zabrać zastawę jednak bez wazy, gdyż z tej oficer wojskowych idiotów ze wschodu zrobił sobie nocnik. Po kilku dniach pobytu z dworu wyszli żołdacy zostawiając ogromne zniszczenia. Powybijane szyby, zniszczone meble, obrazy, książki, których nie zdążyli spalić służyły jako zapas papieru toaletowego – czyli nic nowego jeżeli chodzi o doświadczenia z wojskami radzieckimi.

Właśnie tą porcelaną, zabraną przez dziadków WJ mieliśmy teraz w rękach. Wiedzieliśmy, że nie damy rady legalnie jej przewieźć przez granicę więc poprosiliśmy WJ aby oddał ją w polskim konsulacie z opisem historii jak znalazła się w jego rodzinie.

Pożegnaliśmy się w końcu z naszym gospodarzem i jego znajomymi i wyruszyliśmy w drogę powrotną. Przez całą drogę każdy samodzielnie przeżywał przygody ostatnich dni. Po zwróceniu auta, dosłownie w ostatniej chwili dopadliśmy do powrotnego busa. Dopiero na granicy, w oczekiwaniu na odprawę, rozpoczęliśmy analizę naszej wyprawy. Wówczas to pojawiła się pewna myśl, która nie daje nam spokoju do teraz. Skoro po wyjściu Rosjan dwór jeszcze stał cały, otwarty, bez gospodarza, to ile pamiątek z niego musi znajdować się w okolicznych domach.

Z tą myślą wróciliśmy do domów i trzymając się jej planujemy kolejną wyprawę mogącą odkryć wiele interesujących pamiątek po polskich mieszkańcach nieistniejącego już dworu.

RSK



Eksploracja i przygoda
to styl życia

sklep
poszukiwania.pl

Chrystianizacja Polski



Pierwsze chrześcijańskie, szkieletowe cmentarze zakładano w Polsce już w X w., a nie dopiero w początkach XI w. - uważa mediewista, prof. Andrzej Buko. Tym samym przyjmuje, że chrystianizacja kraju zainicjowana przez Mieszka I wcale nie była pozorna.

Do tej pory wśród archeologów i historyków przeważał pogląd, wedle którego Mieszko I co prawda ochrzcił się wraz z dworem w 966 r., ale chrystianizacja kraju następowała bardzo wolno. Nawet osoby wywodzące się w kręgu elit składano po śmierci nadal w obrzędzie ciałałopalnym. Faktyczna chrystianizacja miała nastąpić dopiero wraz z rządami Bolesława Chrobrego.

"Wyniki najnowszych datowań najstarszych średniowiecznych pochówków wskazują, że było jednak inaczej. Okazuje się, że w przypadku około 10 cmentarzy, na których chowano m.in. elitę ówczesnego, rodzącego się państwa polskiego znajdują się groby szkieletowe z ostatniej ćwierci X w." - mówi archeolog i mediewista prof. Andrzej Buko z Instytutu Archeologii i Etnologii PAN oraz Instytutu Archeologii UW. Słowianie mieszkający na terenie rodzącego się państwa polskiego przed złożeniem zmarłych do grobu - kremowali ich. Było to związane z ich pogańskimi wierzeniami.

Naukowcy, którzy uważają, że obrządek szkieletowy wprowadzono dopiero w XI w. mają jeden poważany problem w argumentacji. "Otóż do-

chodzimy w tym miejscu do paradoksu: cmentarzy ciałopalnych z 2. poł. X i pocz. XI w. pomimo wielu lat badań, nie udało się dotąd odkryć. A te szkieletowe mają pochodzić dopiero z początku XI w." - zauważa naukowiec. Gdzie więc i w jaki sposób chowano zmarłych w okresie co najmniej 50 lat?

Prof. Buko postanowił przyjrzeć się sposobom datowania średniowiecznych cmentarzy badanych dziesiątki lat temu oraz tym odkrytym w ostatnich latach. Jak wyjaśnia, problem polega na tym, że dotychczasowe metody określania wieku pochówków w Polsce, a zwłaszcza najstarszej fazy cmentarzy szkieletowych od lat są przestarzałe i mało precyzyjne.

Wiek grobów szkieletowych jest określany m.in. na podstawie monet znajdujących przy zmarłych. "Gdy przy kilku zmarłych odkryto monety z XI w. automatycznie zakładano, że pozostali zmarli, przy których monet nie znaleziono, również zostali złożeni do grobów w tym samym czasie, lub później, co wcale nie musi być prawdą" - zauważa naukowiec.

"Badacze często zdają się też nie dostrzegać, że każdy cmentarz jest organizmem +żywym+. Jak każde dawne miasto - ma swój rdzeń - +stare miasto+, jak i peryferie. W przypadku miast są to najnowsze dzielnice i budynki, a w przypadku cmentarza - nowe groby lokowane na jego obrzeżach" - zauważa. Dlatego duże zdziwienie naukowca wzbudza fakt, że w polskiej tradycji badawczej tak mało uwagi poświęca się fazom inicjalnym najstarszych cmentarzy szkieletowych i datowaniom metodą radiowęglową kości zmarłych.

Wśród cmentarzysk, gdzie odkrywano są najstarsze groby szkieletowe, datowane przed schyłkiem wieku X dominują te z obszaru Wielkopolski i Kujaw. Są to m.in. Dziekanowice, Kałdus, Bodzia, Pień czy Sowinki, jak również niedawno badana nekropola w Sandomierzu w Małopolsce. "Taka ich lokalizacja nie musi być wcale związana ze stanem faktycznym. Po prostu do tej pory nie badano zbyt wielu grobów metodami

radiowęglowymi z tego okresu na innych obszarach" - zaznacza prof. Buko.

Naukowcy, którzy sądzą, że chrześcijaństwo rozprzestrzeniło się w Polsce "z poślizgiem" zwracają również uwagę na fakt, że w najstarszych grobach szkieletowych - nawet tych z XI w. - brakuje przedmiotów kultu religijnego - np. w postaci krzyżyków. "Okazuje się, że wyznaczniki chrześcijaństwa pojawiają się na cmentarzach późno. I nie dotyczy to bynajmniej wyłącznie Polski, ale również innych krajów" - mówi prof. Buko.

Na przykład zmarłych złożonych przy kościele św. Katarzyny na warszawskim Służewcu składowano z krzyżykami dopiero od XVII w. „Czy oznacza to, że inne, wcześniej pochowane przy kościele i w jego wnętrzu osoby nie były chrześcijanami?" - pyta retorycznie naukowiec.

W ocenie badacza, dotychczasowe wyniki badań wskazują, że przyjęcie chrześcijaństwa nie miało bezpośredniego wpływu na charakter darów składanych w grobie wraz ze zmarłym.

"Uważam, że dotychczasowe wyniki badań archeologicznych upoważniają do wysunięcia tezy, że chrześcijaństwo było wprowadzane na ziemiach polskich już w czasach Mieszka I" - uważa prof. Buko. Dodaje, że początkowo proces ten był powolny i dotyczył głównie elit zamieszkujących centralne ośrodki państwa.

„Pamiętajmy, że budowa kościołów sieci parafialnej na ziemiach polskich zakończyła się dopiero w XIII w., a więc dopiero 300 lat po przyjęciu przez Polskę chrześcijaństwa" - przypomina prof. Buko.

PAP - Nauka w Polsce

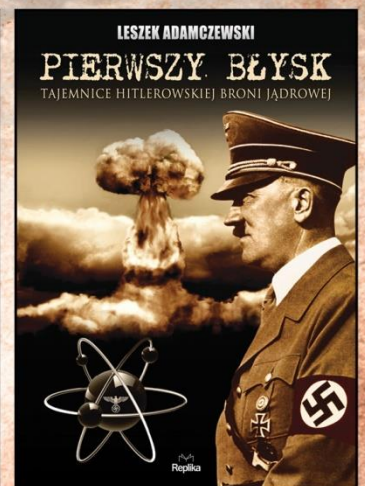
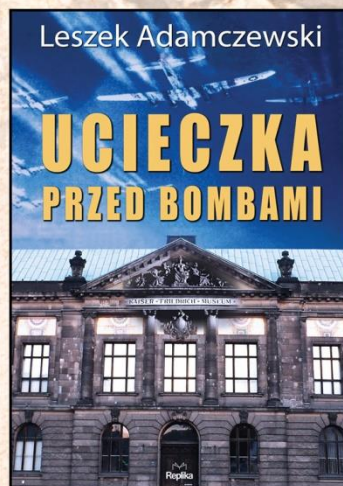
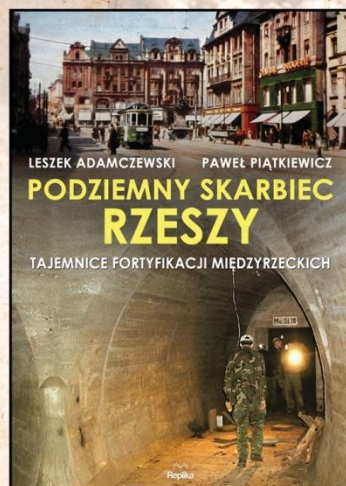
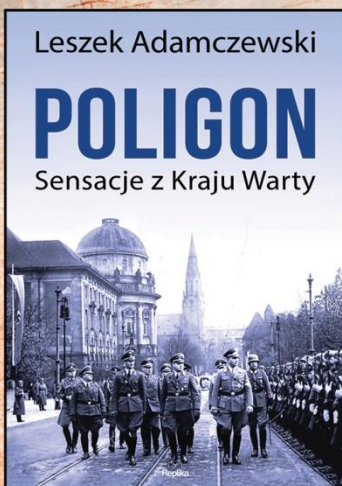
Autor: Szymon Zdziebłowski

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.
foto: Pexels

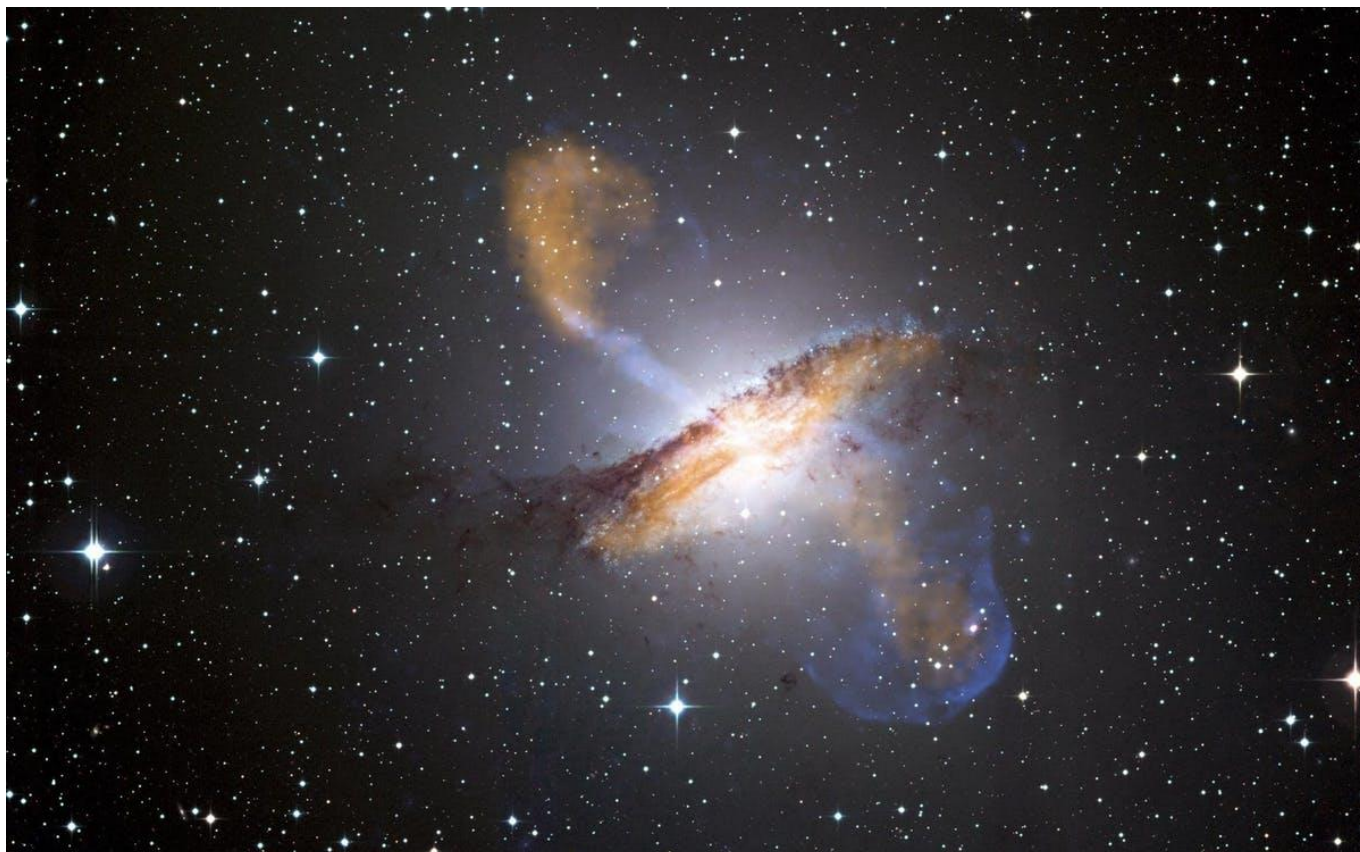
SKARBY, ZAGADKI, MROCZNE TAJEMNICE HISTORII



WKRÓTCE



Matematyka w badaniach Kopernika



Jeśli chodzi o istotne cechy modelu heliocentrycznego, to Kopernik powiedział praktycznie to samo, co Arystarch jakieś 18 wieków przed nim. Dzięki postępowi matematyki Kopernik był zaś w stanie lepiej pokazać szczegóły modelu i, mówiąc współczesnym językiem, „dotrzeć z przekazem” – mówi dr hab. Michał Bejger, astrofizyk z Centrum Astronomicznego PAN. Mija 475 lat od śmierci Mikołaja Kopernika.

PAP: Pierwszy znany model heliocentryczny stworzył Arystarch z Samos w III w. p.n.e. Heliocentryczne koncepcje pojawiły się również w Babilonii, Indiach czy świecie arabskim. Na czym zatem polegało nowatorstwo teorii heliocentrycznej przedstawionej przez Mikołaja Kopernika?

Dr hab. Michał Bejger: Jeśli chodzi o wszystkie istotne cechy modelu heliocentrycznego, to Kopernik powiedział praktycznie to samo, co Arystarch jakieś osiemnaście wieków przed nim. Podobną teorię przedstawiali jeszcze wcześniej pitagorejczycy, w szczególności Filolaos z Tarentu.

Dzięki postępowi matematyki Kopernik był w stanie lepiej pokazać szczegóły modelu i, mówiąc współczesnym językiem, "dotrzeć z przekazem". Jak pamiętamy, pomysł Arystarcha i pitagorejczyków został "przykryty" przez model geocentryczny opisany w „Almageście” Ptolemeusza (II w.), który został przyjęty przez średniowieczną astronomię i obowiązywał aż do późnego średniowiecza.

PAP: Czy wobec tego Kopernik korzystał z wiedzy poprzedników?

Dr hab. Michał Bejger: Był dobrze wykształcony: wiedział o antycznych teoriach heliocentrycznych, oprócz tego umiał korzystać z obszernych obserwacji pozycji planet zgromadzonych przez europejskich i arabskich astronomów. Arabowie przez kilka poprzednich wieków przodowali w tego rodzaju badaniach podczas tzw. złotego okresu islamskiej nauki IX–XIII wieku; zresztą jedną z najważniejszych zasług arabskich naukowców jest przechowanie tłumaczeń wielu antycznych tekstów astronomicznych, które nie przetrwały w Europie.

Znając te książki oraz używając najdoskonalszej – w wielu przypadkach arabskiej – matematyki, Kopernik mógł z sukcesem argumentować na rzecz tego modelu. Środowisko naukowe przekonały zwłaszcza większa prostota nowego systemu – co oznacza mniej żmudnych obliczeń – i usunięcie pewnych "nieeleganckich" rozwiązań wprowadzonych do teorii Ptolemeusza w celu jej uzgodnienia z obserwacjami.

PAP: Czy inni badacze tego czasu prowadzili podobne obserwacje?

Dr hab. Michał Bejger: Czasy przed Kopernikiem wyglądały tak, jak wyglądają zawsze przed zmianą paradygmatu naukowego – skupiano się na przyczynkowych próbach poprawiania znanego modelu, w tym przypadku Ptolemeusza; dodawano kolejne epicykle [okręgi, po których poruszają się planety – red.], stopniowo akceptowano pozornie drobne detale, np. to, że Ziemia obraca się wokół własnej osi. W międzyczasie udoskonalano techniki obserwacyjne, które wciąż wykonywano gołym okiem – pierwsza luneta astronomiczna to dopiero początek XVII w.

W pewnym sensie Kopernik napisał "O obrotach ciał niebieskich" („De revolutionibus orbium coelestium”), bo rzeczywistość dojrzała do przyjęcia tej teorii – obserwacji było dostatecznie dużo i były wystarczająco dokładne, a jednocześnie była widoczna frustracja wynikająca z nieudanych prób naprawiania starej teorii.

PAP: Jakie miejsce w ówczesnym świecie zajmowała polska astronomia?

Dr hab. Michał Bejger: Polska astronomia była wtedy jedną ze wschodzących gwiazd nauki. Sto lat przed narodzinami Kopernika powstała Akademia Krakowska. Przez większość wieku XV Kraków był nowoczesną uczelnią z dobrze wyposażoną biblioteką; od 1402 r. istniała tam katedra matematyki i astronomii. Jej wykładowcy prowadzili ożywioną współpracę z innymi europejskimi ośrodkami, np. Wiedniem, Norymbergą, później Bratysławą, i wysyłali swoich studentów na nauki do Włoch i Francji. Uczono z nowoczesnych podręczników. Obserwowano ruch planet i udoskonalano istniejące dane.

Obserwacje astronomiczne służyły także do dokładnego wyznaczenia położenia geograficznego Krakowa i do prac związanych ze zlecanymi przez Kościół katolicki reformami kalendarza. Naukowa atmosfera Krakowa z pewnością miała duży wpływ na sposób myślenia młodego Kopernika, który studia zaczął w 1491 r.

PAP: Jak teoria heliocentryczna Kopernika oraz jego praca „O obrotach ciał niebieskich” została przyjęta w środowiskach akademickich?

Dr hab. Michał Bejger: Części nowego modelu zostały dość szybko zaakceptowane przez naukowców. Tu wypada wspomnieć, że druk "O obrotach..." tuż pod koniec życia Kopernika to zasługa młodego matematyka, Jerzego Joachima Retyka, profesora matematyki z Wittenbergi, który włożył dużo pracy w upublicznienie dzieła.

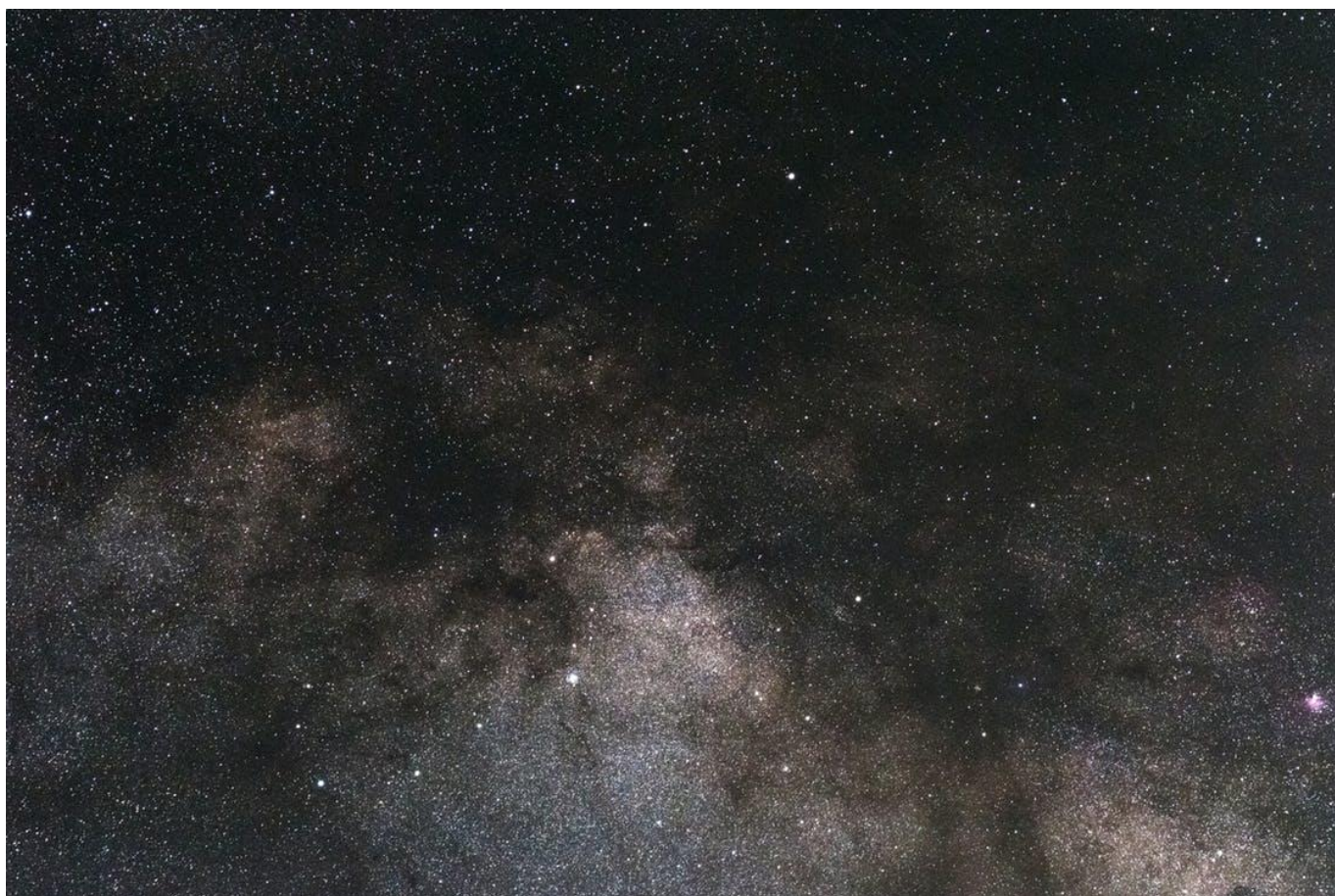
W 1551 r. Erazm Reinhold na podstawie teorii Kopernika opublikował ulepszone tablice służące do obliczania pozycji Słońca i Księżyca. Użyto ich w reformie kalendarza przeprowadzonej przez papieża Grzegorza VIII w roku 1582. Uniwersytet w Wittenberdze był pierwszym, w którym nauczano o nowym modelu, początkowo w taki sposób, że doceniano techniki matematyczne, ale odrzucano interpretację kosmologiczną.

Podobnie widział sprawę Tycho Brahe, który nazwał Kopernika "drugim Ptolemeuszem", ale nie akceptował modelu heliocentrycznego z powodów religijnych: posługiwał się "hybrydo-

wym" modelem geo-heliocentrycznym, w którym Merkury i Wenus krążyły wokół Słońca, a reszta planet wokół Ziemi.

Pierwszym astronomem w naszej części Europy, jawnie akceptującym i głoszącym przewagę systemu Kopernika jeszcze w wieku XVI, był Michał Maestlin z Tybingi, mentor Johanna Keplera. Ale sytuacja wyglądała podobnie w An-

Już w 1590 r. Galileusz, wtedy młody – i bardzo słabo wynagradzany – profesor matematyki w Pizie, napisał wierszem satyrę pt. "Contro il portar la toga", w której szydził z tradycji uniwersytetu nakazującej pod surową karą grzywny chodzenia wszędzie w todze. W wieku XVII dzięki obserwacjom teleskopowym prowadzonym od 1609 r. Galileusz mógł demonstrować kolegom i mecenasom góry na powierzchni Księżyca, księżycy krążące wokół Jowisza, słabe gwiazdy nie-



glii, Hiszpanii, we Francji i Włoszech.

PAP: Kepler i Galileusz w listach do siebie w dość krytyczny sposób ukazywali ówczesne środowisko naukowe...

Dr hab. Michał Bejger: W wymianie listów z 1597 r. Galileusz skarżył się na krótkowzroczność ówczesnego konserwatywnego środowiska naukowego Włoch, podając za przykład los Kopernika, a Kepler mu kibicował i zachęcał do wspólnego działania, przekonując, że większość środowiska naukowego stanie po stronie prawdy.

widoczne gołym okiem, fazy Wenus i plamy na powierzchni Słońca.

Obserwacje te nie były łatwo akceptowane przez teologów i filozofów natury, którzy mieli problem z pogodzeniem ich z tradycyjnym sposobem myślenia. Galileusz był w tym czasie szczególnie krytykowany przez uczonych jezuickich, którzy nie byli nawet zainteresowani obejrzeniem jego odkryć na własne oczy, o czym pisze w liście do Keplera z 1610 r.

PAP: Czy teologia wobec tego utrudniała prace naukowe?

Dr hab. Michał Bejger: W tamtych czasach granice między dziedzinami nauki były słabo określone, na dodatek interpretacja wyników była dokonywana z pozycji metafizycznych. Bardzo często – co jeszcze komplikowało sprawę – środowisko naukowe było tradycyjne, związane z Kościołem katolickim, jak np. jezuiti, z którymi miał kłopot właśnie Galileusz. W przypadkach rewolucji naukowej zmiana sposobu myślenia i pozbycie się dysonansu poznawczego zajmują czas. Wydaje się, że naukowcy w krajach protestanckich byli mniej konserwatywni i radzili sobie z tym szybciej.

PAP: Jaka była zatem reakcja Kościoła na zaprezentowane przez Kopernika odkrycie?

Dr hab. Michał Bejger: Do początków XVII w. nie było żadnego oficjalnego stanowiska Kościoła katolickiego w sprawie modelu kopernikańskiego. Na pewno nie był on oficjalnie traktowany jako herezja, przeciwnie – Kościół korzystał z technicznych aspektów teorii Kopernika podczas reformy kalendarza.

Kiedy w 1600 r. Giordano Bruno został spalony na stosie jako heretyk, nie miało to nic wspólnego z jego pismami wspierającymi kosmologię kopernikańską, lecz raczej z tym, że otwarcie kwestionował autorytet papieża.

PAP: Kiedy wobec tego nastąpiła zmiana nastawienia?

Dr hab. Michał Bejger: Po początkowym braku zainteresowania Kościół katolicki zauważył niebezpieczeństwo dosłownej interpretacji modelu i zaczął systemowo zwalczać heliocentryzm, poczynając od pierwszego procesu Galileusza w 1616 r., gdy "O obrotach" umieszczono w indeksie ksiąg zakazanych. W 1632 r. spotkało to także dzieło samego Galileusza, czyli "Dialog o dwu wielkich systemach świata: ptolemeuszowym i kopernikowym".

W połowie XVII w. starano się np. zakazać rozpowszechniania "heliocentrycznej herezji" bullą papieską z 1664 r., która potępiała wszelkie prace kwestionujące nieruchomość Ziemi. Wszelkie te próby były, jak wiemy, skazane na porażkę, zwłaszcza po kolejnych sukcesach odrodzenia związanych z opisem Układu Słonecznego przez

teorię grawitacji Newtona. Być może działania Kościoła katolickiego były podyktowane politycznie – były reakcją w wojnie o wpływy z oświeceniowym humanizmem i reformacją.

Mimo problemów z Kościołem w wieku XVII dzieło Kopernika było w zasadzie dostępne bez większych problemów (do druku trzeciego wydania doszło w Amsterdamie w 1617 r.), pojawiały się tłumaczenia (od 1587 r. w języku niemieckim), a najbardziej zainteresowani, czyli dopiero co odrodzone środowisko naukowe astronomów, coraz śmielej stosowali reguły nowoczesnej nauki: nie bardzo się tym wszystkim przejmowano, i studiowano ten interesujący model, zwłaszcza w krajach protestanckich.

Można powiedzieć, że ostatecznie Kościół katolicki został pokonany przez rzeczywistość – nie dało się już prowadzić geocentrycznej narracji, więc papież Benedykt XIV zniósł zakaz dzieł traktujących o heliocentryzmie, ale książka formalnie pozostała w indeksie zakazanych do połowy wieku XIX.

PAP: Wspomniał pan, że „O obrotach...” trafiło na Indeks ksiąg zakazanych. Czy to znaczy, że Kościół jednak potępił teorię Kopernika?

Dr hab. Michał Bejger: Książka trafiła do Indeksu poprzez sprawę Galileusza z 1616 r. Nie została formalnie zakazana, lecz jedynie wycofana z obiegu, w oczekiwaniu na "poprawki", które objaśniałyby status teorii jako hipotezy (jak wspomnieliśmy, Kościół korzystał z technicznych aspektów teorii Kopernika przy reformie kalendarza).

Po przygotowaniu poprawek i formalnym ich zatwierdzeniu w 1620 r. czytanie dzieła było dozwolone. Nie doczekało się jednak nowej wersji druku ze zmianami, więc było udostępniane w bibliotekach kościelnych odpowiednio wykwalifikowanym uczonym na specjalne życzenie.

Opór Kościoła wiązał się w zasadzie z interpretacją modelu. Dosłowna interpretacja nie była akceptowalna z religijno-filozoficznego punktu widzenia: w oczach Kościoła nie mogło być tak, by najważniejsze dzieło stworzenia (Ziemia) nie znajdowało się w "naturalnym" dla siebie punkcie, to znaczy w centrum świata. Ta "natural-

ność" to echo filozofii Arystotelesa, którą Kościół ceni sobie do dziś.

Na początku XVII w. w związku ze sprawą Galileusza dosłowna interpretacja modelu zaczęła być przez Kościół ostro krytykowana. Można powiedzieć, że pierwsze reakcje były mieszane, umiarkowanie entuzjastyczne, a otwarta reakcja Kościoła nastąpiła z ponad 70-letnim opóźnieniem.

PAP: Jak teorię Kopernika przyjęły kręgi protestanckie?

Dr hab. Michał Bejger: Większość wczesnych reakcji w świecie protestanckim była motywowana religijnie i była krytyczna. Być może to zaskakujące, ale pierwszymi poważnymi krytykami Kopernika byli właśnie reformatorzy, m.in. Marcin Luter, według którego heliocentryzm stał w sprzeczności z Biblią. Jednak jego bliski współpracownik, profesor uniwersytetu w Wittenberdze Filip Melancton po początkowej krytyce nie zwalczał pomysłu Kopernika. Wśród znajomych w kręgu Melanctona było wielu wczesnych propagatorów idei Kopernika, m.in. Erazm Reinhold czy Kaspar Peucer.

Być może dzięki niekonsultowanej z Kopernikiem zamianie wstępu do pierwszego wydania na napisany przez wydawcę, niemieckiego luteranina Andreasa Osiandera, przed końcem wieku astronomowie zaczęli używać modelu heliocentrycznego jako wygodnego narzędzia (Osiander dodał wstęp sugerujący, że model opisany w książce niekoniecznie jest prawdziwy, a nawet prawdopodobny, ale jest przydatny do celów obliczeniowych). Podobnie postępował przecież Kościół katolicki.

PAP: Teoria Kopernika zdefiniowała miejsce człowieka we wszechświecie. Jaki wpływ wywarła na filozofię czy rozważania religijne?

Dr hab. Michał Bejger: Myślę, że miała kapitalny wpływ w co najmniej kilku znaczeniach. Po pierwsze, do czasów Kopernika główną motywacją do badań astronomicznych była astrologia. Astrologia była używana przez władców do "tłumaczenia woli nieba". Dzięki Kopernikowi astrologia traci swoją wiarygodność, ponieważ Ziemia zaczyna być traktowana na równi z in-

nymi planetami. Po drugie, rewolucja kopernikańska zmieniła sposób używania nauki jako narzędzia do zrozumienia wszechświata. Przed Kopernikiem i epoką odrodzenia do dyspozycji były ogólne, jakościowe wytyczne niekwestionowane dzięki autorytetom Arystotelesa lub Ptolemeusza. Z odrodzeniem wraca zaś filozofia epikurejska i platońska. Następcy Kopernika - Kepler, Galileusz, Newton - wprowadzili do nauki język praw fizyki i matematycznego rygoru. Następuje odczarowanie sfer niebieskich: Słońce okazuje się nieidealne, pokryte plamami, a Księżyc jest usiany kraterami.

Po rewolucji kopernikańskiej naukowy pogląd na świat staje się zdecydowanie bardziej racjonalny i sceptyczny. Oczywiście świadomość mniej wyróżnionej pozycji ludzkości we wszechświecie wpływa zwrotnie na rozwój humanizmu, empatii, a także myśli politycznej.

PAP: Czy echa teorii heliocentrycznej widoczne są również w sztuce tamtych czasów?

Dr hab. Michał Bejger: Tak, jako ważna część dużej rewolucji model Kopernika dawał do myślenia. Skoro Ziemia to jedna z wielu planet, to czy i na Księżycu też można mieszkać? W XVII w. pojawiły się np. pierwsze powieści o podróżach kosmicznych, czyli "Sen" Johanna Keplera z 1634 i "The Man in the Moone" Francisca Godwina z 1638 r.

Odniesień do rywalizujących systemów Kopernika i Ptolemeusza można się doszukać w "Raju utraconym" Johna Milтона; interpretowano też w ten sposób "Hamleta" Williama Szekspira (wiedza astronomiczna zawarta w dziełach stratfordczyka jest osobnym, bardzo obszernym i ciekawym tematem). W naturalny sposób rozwój metod matematycznych i geometrii wiąże się również z coraz bardziej wyrafinowaną architekturą. Istnieją także hipotezy, iż niektóre kościelne dzieła malarskie, np. fresk "Sąd ostateczny" Michała Anioła, były inspirowane modelem heliocentrycznym.

PAP: Czy praca nad teorią heliocentryczną była jedyną pracą Kopernika związaną z astronomią?

Dr hab. Michał Bejger: Mikołaj Kopernik był nie tylko teoretykiem, lecz i aktywnym obserwa-

torem: w swoim obserwatorium we Fromborku, które wyglądało nieco inaczej niż na znanym obrazie Jana Matejki (był to dość obszerny plac, ówczesna aparatura astronomiczna zajmowała dużo miejsca), używał ówczesnych instrumentów: kwadrantu i liniału Ptolemeusza do śledzenia pozycji planet oraz Słońca.

Obserwacje te wykonywał m.in. w związku ze swoimi pracami nad reformą kalendarza juliańskiego. Przy okazji dodam, że prace nad teorią heliocentryczną Kopernik prowadził przez ponad trzy dekady przed opublikowaniem (1543) "O obrotach ciał niebieskich". Krótkie streszczenie pt. "Commentariolus" ("Mały komentarz"), w którym były zawarte wszystkie najważniejsze idee, przedstawił wąskiemu gronu swoich możliwych znajomych (m.in. włoskim biskupom) w 1512 lub 1513 r.

PAP: Kopernik był nie tylko astronomem, lecz wręcz człowiekiem renesansu. Co wiemy o jego działalności poza astronomią?

Dr hab. Michał Bejger: Tak, był wszechstronny – oprócz profesjonalnego uprawiania astronomii i matematyki był lekarzem, tłumaczem, prawnikiem, dyplomatą (uczestniczył m.in. w negocjacjach z zakonem krzyżackim), ekonomistą (zajmował się teorią pieniądza: sformułował monetarną zasadę, według której gorszy pieniądz wypiera pieniądz lepszy), kartografem (stworzył mapy Warmii i Prus), oraz, można powiedzieć, był menedżerem, to znaczy zarządzał ludźmi w czasie pokoju i wojny (prowa-

dził obronę zamku Olsztyn podczas ataku wojsk krzyżackich w 1520 r.). Mimo bliskiego związku z Kościołem katolickim nie był księdzem, ale jedynie kanonikiem, czyli praktycznie kimś w rodzaju dobrze wykształconego urzędnika: nie miał święceń i nie prowadził posługi sakramentalnej.

PAP: Autograf „O obrotach ciał niebieskich” został wpisany na listę UNESCO Pamięć Świata. Jakie znaczenie dla współczesnego świata może mieć praca i teoria heliocentryczna?

Dr hab. Michał Bejger: Wydaje mi się, że dzieło Kopernika jest przykładem triumfu racjonalności. Obecnie wiemy, że ani Ziemia, ani Słońce, ani nawet nasza Galaktyka, składająca się ze stu miliardów gwiazd, nie są w żaden sposób wyróżnione. W astronomii nazywamy to właśnie zasadą kopernikańską. Stosuje się ją również w naukach społecznych. Dziś żaden system nie jest a priori wyznaczany jako lepszy.

Rozmawiała Anna Kruszyńska (PAP)

akr/ skp/ ls/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Pexsels



POSZUKIWA

Kopernik w Krakowie



Kopernik bardzo sobie cenił studia na uniwersytecie w Krakowie, bo później w dziele "O obrotach sfer niebieskich" napisał, że wszystko, co osiągnął, zwłaszcza w zakresie astronomii, zawdzięcza tej uczelni. O innych nie wspominał – mówi PAP historyk prof. Krzysztof Stopka.

W czwartek przypada 475. rocznica śmierci Mikołaja Kopernika, który odkrył, że Ziemia obraca się wokół Słońca, a nie na odwrót, jak wcześniej sądzono.

Twórca teorii heliocentrycznej uczył się w kilku ośrodkach naukowych w Europie. Studiował m.in. w Bolonii i Padwie, jednak jego akademickie początki związane są z Krakowem. Tu, w Uniwersytecie Krakowskim (później upowszechniła się nazwa Akademia Krakowska; dziś – Uniwersytet Jagielloński) Kopernik podjął czteroletnie studia w 1491 r.

Dziś w Collegium Maius UJ znajduje się tzw. Skarbiec Kopernika, który skrywa obiekty przypominające o astronomie. Niektóre eksponaty przybliżają nieznanemu szerszemu gronu fakty związane z postacią wybitnego uczonego.

Skarbiec Kopernika mieści się w części muzealnej Collegium Maius, funkcjonuje jako wystawa stała i przez cały rok jest dostępny dla zwiedzających.

Dyrektor Muzeum Collegium Maius prof. Krzysztof Stopka powiedział PAP, że niewiele wiadomo o studiach Kopernika w Krakowie. Wiadomo, że rozpoczął je wraz ze swoim bratem Andrzejem w 1491 r., a zakończył w 1495. Mikołaj studiował sztuki wyzwolone (m.in. astronomię), których ukończenie pozwalało rozpocząć studia z zakresu medycyny, prawa, teologii. Po studiach w Krakowie Kopernik kontynuował naukę (studia prawnicze) we Włoszech.

„Wiemy, że Mikołaj Kopernik uścił pełną opłatę wpisową. Jego brat Andrzej również zapłacił za studia” – opisywał prof. Krzysztof Stopka. Na znajdującej się w Collegium Maius karcie z księgi wpisowej widać podpis Kopernika: „Nicolaus Nicolai de Thuronia” (pol. Mikołaj, syn Mikołaja, z Torunia). Nie ma jednak kwoty, jaką zapłacił Mikołaj. Przy wpisie jego brata widnieje zaś kwota 5 groszy. Zdaniem prof. Stopki możliwe jest, że Kopernik zapłacił 6-7 groszy za wpis na studia.

Dyrektor Muzeum przyznał także, że nie wiadomo, w którym miejscu Mikołaj Kopernik pobierał nauki, ponieważ w czasie, gdy rozpoczął studia Collegium Maius, najstarszy budynek UJ, spłonął w pożarze. Możliwe, że Kopernik uczył się w sąsiednim budynku - Collegium Minus (dziś siedziba Instytutu Archeologii), ale nie jest to potwierdzone.

W XV w. Uniwersytet Krakowski był jedną z najlepszych uczelni na świecie. „Kopernik bardzo sobie cenił studia w tutejszym uniwersytecie, ponieważ później w słynnym dziele +O obrotach sfer niebieskich+ napisał, że wszystko co osiągnął, zwłaszcza w zakresie astronomii, zawdzięcza uniwersytetowi w Krakowie. Nie wspominał o innych uczelniach” – podkreślił prof. Krzysztof Stopka.

Nie wiadomo także, kto był mistrzem Kopernika w Krakowie. Przypuszcza się – mówił historyk – że był to astronom i matematyk Wojciech z Brudzowa, w czasie studiów Kopernika nie był on związany z Uniwersytetem Krakowskim; zatem nauki przyszłego astronoma u Wojciecha z Brudzowa mogły mieć charakter prywatny.

Możliwe, że Mikołaj Kopernik podczas studiów korzystał z instrumentów astronomicznych (globus Ziemi, astrolabium, torquetum), które są na wystawie w Collegium Maius. Przyrzędy te podarował uniwersytetowi astronom i medyk Marcin Bylica z Olkusza.

„Marcin Bylica z Olkusza był profesorem Uniwersytetu Krakowskiego oraz nadwornym lekarzem króla węgierskiego Macieja Korwina. Pomagał Węgrom założyć konkurencyjny dla Uniwersytetu Krakowskiego uniwersytet, co było źle

widziane w Krakowie. Inicjatywa Węgrów nie udała się jednak. Marcin Bylica jako wyraz ekspiacji podarował te instrumenty uczelni krakowskiej” – opowiadał historyk.

Prawdopodobnie w Krakowie Kopernik przyjął święcenia kapłańskie. W 1497 r. został kanonikiem na Warmii. Spory i emocje budzą relacje Kopernika z gosposią Anną Schilling. Zgodnie z przekazami historycznymi usunąć kobietę z domu we Fromborku nakazał Kopernikowi bp warmiński Jan Dantyszek. Anna powróciła do rodzinnego Gdańska.

Wśród ciekawych zbiorów w Collegium Maius jest np. oprawione w ramę zdjęcie Ziemi, wykonane z Księżyca, a podarowane Collegium Maius przez pierwszego człowieka, który stanął na srebrnym globie, Neila Armstronga. Amerykański astronauta ofiarował zdjęcie Collegium Maius podczas wizyty w Krakowie, z okazji 500. urodzin tego, który „wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię”. Pod fotografią Armstrong napisał dedykację, określającą Kopernika „Gigantem”.

W Skarbcu Kopernika w Krakowie zwiedzający obejrzą także faksymile manuskryptu Mikołaja Kopernika „O obrotach sfer niebieskich” (De revolutionibus orbium coelestium). Dzieło to Uniwersytet Jagielloński pozyskał od władz Czechosłowacji w latach 60. w drodze wymiany – Polacy przekazali południowym sąsiadom kilka dzieł znanego czeskiego pedagoga Jana Amosa Komeńskiego.

Mikołaj Kopernik urodził się w Toruniu w 1473 r., zmarł w 1543 we Fromborku. Poza astronomią zajmował się medycyną, prawem, ekonomią oraz pracą administracyjną m.in. zakładając pod Olsztynem kolejne wsie i nadając chłopom ziemię.(PAP)

autor: Beata Kołodziej

bko/ itm/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Odślonięcie tablicy upamiętniającej 30. rocznicę strajków studenckich



Tablicę upamiętniającą 30. rocznicę strajków studenckich odślonięto w piątek na gmachu głównym Uniwersytetu Wrocławskiego. Rok po strajkach studenckich upadł system komunistyczny – podkreślił podczas uroczystości rektor uczelni prof. Adam Jezierski.

W 1988 r. wrocławscy studenci zmanifestowali swoją solidarność ze strajkującymi robotnikami. Wysunęli także własne postulaty, domagając się m.in. zalegalizowania Niezależnego Zrzeszenia Studentów i zmiany patrona Uniwersytetu Wrocławskiego. „Dzisiejsza uroczystość jest uhonorowaniem walki sprzed 30 lat” - powiedział przed odślonięciem tablicy rektor prof. Jezierski.

Rektor podkreślił, że tablica, podobnie jak ta wisząca obok, upamiętniająca bohaterów Powstania Styczniowego, ma przypominać o tym, że o wolność "trzeba stale walczyć, w różny sposób w zależności od sytuacji, gdyż nie jest dana raz na zawsze”.

Dr Łukasz Kamiński, historyk UW, przypomniał, że „w połowie lat 80. sytuacja w Polsce znalazła się w zawieszeniu, a żadna ze stron, ani Solidarność, ani komunistyczna władza nie była w stanie tego przełamać. Do tego od kilkunastu lat w kraju trwał głęboki kryzys gospodarczy”.

„W takim momencie, 27 kwietnia 1988 roku wybuchła strajk w Nowej Hucie, 2 maja przyłączyła się Stocznia Gdańska i dalsze zakłady. Wy-



daje się, że wreszcie nadchodzi ten moment, który może coś zmienić, te nadzieje rosną, kiedy 4 maja władze godzą się na mediacje. Jednak nocą z 4 na 5 maja niespodziewanie następuje brutalna pacyfikacja strajku w Nowej Hucie” – mówił dalej Kamiński.

Jak wyjaśnił, strajk zorganizowany 5 maja przez NZS Uniwersytetu Wrocławskiego miał służyć podniesieniu postulatów studenckich, w tym legalizacji tej organizacji, ale stał się również wyrazem solidarności z protestującymi robotnikami i z coraz bardziej osamotnioną Stocznią Gdańską. „Na tym wiecu zapada decyzja o przeprowadzeniu 24 - godzinnego strajku okupacyjnego, który z pewnym perturbacjami zaczął się następnego dnia w gmachu filologii polskiej. 6 maja do strajkujących studentów UWr dołączają studenci politechniki” – powiedział.

Zaznaczył, że mimo iż w następnych tygodniach żaden z postulatów nie został zrealizowany, to w dalszej perspektywie majowy strajk był zwycięski. „W sierpniu, gdy młodzi robotnicy inicjują kolejną falę strajków, przynosi ona pierwsze

realne ustępstwa, które wiosną 1989 r. doprowadzają do rozmów Okrągłego Stołu i początku zmian” – powiedział.

Podczas piątkowej uroczystości obecni byli także dwaj współorganizatorzy strajku Krzysztof Jakubczak i Paweł Skrzywanek. „Mieliśmy już wówczas spore doświadczenie w przejmowaniu władzy, bo ponad rok wcześniej, 1 kwietnia przejęliśmy władzę na Uniwersytecie Wrocławskim, powołując regencję rektorów. Od tego zaczęła się Pomarańczowa Alternatywa i liczne happeningi na masową skalę. Później organizatorzy przewrotu kwietniowego znaleźni się w komplecie w Komitecie Strajkowym, a potem kolejne strajki, demonstracje, Okrągły Stół” – wspominał Jakubczak, zaznaczając, że „to właśnie studenci byli zawsze pierwsi w obalaniu systemu”. (PAP)

autor: Agata Tomczyńska

ato/ itm/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Odkrycie czaszki byka i rytualnych naczyń w Egipcie



Rytualne naczynia i kompletną czaszkę byka wraz z rogami sprzed ok. 3,5 tys. lat odkryli archeolodzy w czasie wykopalisk na terenie świątyni w Egipcie. Zabytki znajdowały się na dnie szybu. Archeolodzy uważają, że to depozyt związany z budową świątyni.

Świątynia grobowa faraona Totmesa III (1479 – 1425 lat p.n.e.) w Deir el-Bahari pozostaje w cieniu sąsiadującej z nią, słynnej, tarasowej świątyni Hatszepsut. Świątynia Totmesa III uległa zniszczeniu już w starożytności, prawdopodobnie na skutek trzęsienia ziemi. Jej pozostało-

ści zostały odkryte i zidentyfikowane dopiero w 1962 r. - przez Polaków, którzy od dekad prowadzą prace rekonstruktorskie i archeologiczne na terenie obu obiektów.

"W obecnym sezonie archeologicznym architekt misji, Mariusz Caban z Politechniki Wrocławskiej wspólnie z egiptologiem Dawidem F. Wiczorkiem, odkryli tam fragmenty rytualnych naczyń i kompletną czaszkę byka z rogami. "Na głowie zachował się nawet fragment skóry i sierści" – podkreśla w rozmowie z PAP kierownik prac badawczych w Deir el-Bahari, dr Zbigniew

E. Szafrąński z Centrum Archeologii Śródziemnomorskiej UW.

"Mamy nadzieję, że dzięki temu odkryciu będziemy mogli powiedzieć więcej o historii świątyni" – dodała kierowniczka misji w świątyni Totmesa III w Deir el-Bahari, dr Monika Dolińska z Muzeum Narodowego w Warszawie.

Archeolodzy znaleźli też fragment splecionej z drewna i palmowych liści tacy, na której być może złożono ofiary z żywności. Wszystkie przedmioty znajdowały się na dnie szybu wykonanego z suszonych cegieł mułowych. Zdaniem archeologów jest to depozyt fundacyjny. To oznacza, że naczynia i czaszkę umieszczono w momencie wznoszenia świątyni, w czasie rytuałów związanych z rozpoczęciem budowy świętego przybytku. Akt ten można porównać do wmurowania kamienia węgielnego pod niektóre dzisiejsze budowle - tłumaczą badacze.

"Jednak w przypadku egipskich świątyń nie było jednego depozytu związanego z całą świątynią. Było ich kilka na terenie całej budowli i każdy związany był z innym jej elementem - konkretną kaplicą lub rampą" - wyjaśnia Szafrąński. W jego ocenie podobnie mogło być w przypadku tegorocznego odkrycia. Depozyt umieszczony był tuż obok miejsca, w którym znajdowała się kaplica bogini Hathor (obecnie w całości przeniesiona do Muzeum Kairskiego), zarazem jest to południowo-wschodni narożnik platformy, na której wzniesiono świątynię.

Według egiptologa przedmioty mogły zostać złożone w szybie w czasie uroczystych obrzędów religijnych. Naczynia zapewne były wypełnione piwem, winem lub świętymi olejami, a na tacach złożono zapewne mięso - wszystko w ofierze dla bogów. Egiptolodzy mogą dokonać takiej rekonstrukcji, bo identyczne przedmioty są przedstawiane na reliefach ze świątyń egipskich. Znanych jest też szereg innych podobnych depozytów – najwięcej z sąsiadującej świątyni Hatszepsut – aż 11.

Naukowcy ubolewają, że nie byli pierwszymi odkrywcami depozytu. W czasie odkopywania szybu natknęli się na niedopałki po papierosach

z początku XX wieku. W ich ocenie najpierw dotarli tutaj odkrywcy-amatorzy, którym zależało przede wszystkim na znalezieniu zabytków cennych z antykwarycznego punktu widzenia. Spośród czterech znanych depozytów ze świątyni Totmesa III tylko jeden był nienaruszony (odkryli go niemieccy badacze w latach 60-tych XX w.).

"W podobnych depozytach znajdowane są również modele narzędzi oraz inne przedmioty związane z budową świątyni, jak formy do cegieł, próbki kamieni i pigmentów, płytki z nazwą świątyni - tych tutaj jednak nie było. Z pewnością zostały wykradzione" - spekuluje egiptolog.

Szafrąński dodaje, że miejsca składnia depozytów miały też praktyczne funkcje. "To od takich punktów wytyczano odległości w momencie budowania poszczególnych elementów świątyni. Używając pojęcia związanego z geodezją - były zatem reperami, czyli stanowiły podstawę dla dalszych pomiarów" - dodaje egiptolog.

Podobne depozyty fundacyjne towarzyszyły każdej budowli sakralnej w starożytnym Egipcie, począwszy od okresu Starego Państwa, czyli 1. poł. III tysiąclecia. Znane są ze świątyń towarzyszących piramidom - wskazuje naukowiec. "Jednak nie znamy ich zbyt wiele. Deir el-Bahari jest wyjątkiem, bo zostało bardzo szczegółowo przebadane, jako że archeolodzy pracują tam począwszy od końca XIX w." - podkreśla Szafrąński.

Odkrycia dokonano w ramach badań sfinansowanych przez dr Nathalie Beaux z Francuskiego Instytutu Archeologii Orientalnej. Francuska badaczka prowadzi studia nad kaplicą Hathor w świątyni Totmesa III.

PAP - Nauka w Polsce, Szymon Zdziebłowski

szz/ zan/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: NASA, Wikipedia

Wystawa o wędrówkach ludów



Ponad 500 bezcennych znalezisk archeologicznych, pochodzących z kolekcji kilkunastu polskich muzeów, będzie można oglądać przez najbliższe dwa miesiące na wystawie "Barbarzyńskie tsunami. Okres Wędrówek Ludów w dorzeczu Odry i Wisły" w Muzeum Warmii i Mazur.

Na wystawie pokazane zostaną zabytkowe ozdoby wykonane ze złota i srebra, zapinki, naczynia, monety, żelazne uzbrojenie i inne elementy wyposażenia elitarnych pochówków, odkrytych przez archeologów w różnych miejscach Polski.

Prezentacja eksponatów z kolekcji 12 muzeów ma przybliżyć wydarzenia, które rozegrały się na obecnych ziemiach Polski między schyłkiem IV wieku a początkiem VI stulecia. Autorzy ekspozycji nazwali ten okres "barbarzyńskim tsunami", bo był to czas najbardziej intensywnych ruchów migracyjnych plemion barbarzyńskich, które wtargnęły w granice Imperium Rzymskiego, przyczyniając się do jego upadku.

Zdaniem dyrektora Muzeum Warmii i Mazur Piotra Żuchowskiego, wystawa jest wyjątkowa nie tylko dlatego, że instytucje posiadające najcenniejsze zbiory archeologiczne z tego okresu, po raz pierwszy prezentują wspólnie swoje najbardziej wartościowe eksponaty.

Jak mówił, są to przedmioty bezcenne pod względem naukowym, historycznym i artystycznym. "Okolo 1,5 tys. lat temu wartość tych obiektów była ogromna, a ich właściciele zajmowali wyjątkowe miejsca w hierarchii społecznej" - dodał.

W ocenie Żuchowskiego, prezentacja przybliżająca okres jednej z największych wędrówek ludów w dziejach Europy jest również w pewien sposób aktualna, ze względu na współczesne procesy migracyjne.

Wśród prezentowanych zabytków są eksponaty ze zbiorów muzeum w Olsztynie, m.in. bogato zdobione zapinki z wyposażenia grobowego elit wczesnopruskich i elementy tzw. ogłowia, czyli rzędu końskiego z V-VI w., które pochodzą z rytualnych pochówków koni, odkrytych przez archeologów na cmentarzysku w Tumianach.

Wystawa na olsztyńskim zamku czynna będzie od 1 czerwca do 5 sierpnia. Eksponaty będą prezentowane w przeszklonych gablotach lub witrynach wyposażonych w ekrany dotykowe, co umożliwi zapoznanie się ze szczegółowymi informacjami o obiektach.

Istotnym elementem ekspozycji jest multimedialna prezentacja ilustrująca proces przemieszczania się ludów po Europie na początku nowej ery. Na ekranie można śledzić pochod np. Hunów, Bałtów, Wizygotów, Słowian, Wandalów i ich związek z upadkiem Cesarstwa Rzymskiego.

Wystawa została przygotowana przez Uniwersytet Warszawski i Muzeum Narodowe w Szczecinie we współpracy z 11 muzeami w Polsce. Ma być prezentowana do marca 2020 r. w każdym z muzeów uczestniczących w tym projekcie.

PAP - Nauka w Polsce, Marcin Boguszewski

mbo/ pat/

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

Foto: Pexels

**Eksploracja i przygoda
to styl życia**

sklep
poszukiwania.pl

POSZUKIWANIA



Browar Zamkowy Cieszyn



Powstał w 1846 z inicjatywy rodziny Habsburgów (Karola Ludwika) w dawnej rezydencji należącej do arystokratów. Jest to najstarszy polski browar, gdzie piwo warzy się wciąż metodami tradycyjnymi, przy użyciu otwartych kadzi fermentacyjnych, a poszczególne procesy warzenia odbywają się w komorach wydrążonych w górze zamkowej.

Flagową marką Browaru w Cieszynie jest piwo Cieszyńskie pod którą dostępne są piwa w kilku różnych stylach. Oprócz tego Browar warzy piwo Brackie oraz Żywiec Porter.

Browar jest też siedzibą Stowarzyszenia Piwowarów Domowych oraz organizatorem festiwalu

piwnego Bracka Jesień. Browar Zamkowy Cieszyn działa jako oddzielna jednostka organizacyjna, choć kapitałowo należy do Grupy Żywiec.

Browar Zamkowy Cieszyn od 9 lat warzy piwa specjalne, które powstają na bazie receptury piwa, które zdobywa tytuł najlepszego piwa roku — Grand Championa w Konkursie Piv Domowych.

Współcześnie piwowarzy z Cieszyna nadal stosują te same metody jak przed laty - pracochłonne zacieranie dekokcyjne, brzeczka fermentująca w otwartych kadziach w zabytkowych wnętrzach oryginalnego budynku browaru, a na koniec leżakowanie w zbiornikach umieszczonych w piwnicach wydrążonych we wnętrzu Góry Zam-



kowej. W Cieszynie powstaje piwo Brackie oraz Porter Żywiecki, a także piwa specjalne Grupy Żywiec. To tutaj co roku odbywa się warzenie Grand Championa - specjalnej edycji piwa według pomysłu i receptury laureata Konkursu Piv Domowych. Przy okazji jubileuszu 1200-lecia miasta Cieszyna zostało tu wyprodukowane okolicznościowe piwo Brackie Mastne, które recepturą nawiązywać miało do pierwszego historycznie udokumentowanego piwa warzonego w tym regionie.



Historia Browaru

1846 rok – Powstanie Brackiego Browaru Zamkowego

Browar w Cieszynie został wybudowany na wzgórzu zamkowym przez arcyksięcia Albrechta Fryderyka Habsburga. Lokalizacja ta uznawana jest za miejsce założenia Cieszyna – jednego z najstarszych miast na Śląsku. Ponieważ wzniesiono go w sąsiedztwie habsburskiego zamku (dokładnie – na północnych fundamentach jego obwarowań), przyłgnęła do niego nazwa „Zamkowy”. Jak na ówczesne czasy budowa zakładu mieszczącego się w czteroskrzydłowym, kwadratowym budynku z dziedzińcem pośrodku, była ogromnym przedsięwzięciem inwestycyjnym. Po budowie niemal natychmiast rozpoczęto tu produkcję piwa pilzneńskiego, czerpiąc rozwiązania technologiczne z terenu Czech i Moraw pozostających pod wpływami Habsburgów. Inwestycja okazała się sukcesem i piwo z Cieszyna szybko stało się popularne w całej Austrii - znamienitość rodu, do którego należał browar, wpływała pozytywnie na sprzedaż.

W 1846 roku zmarł Karol Ludwik, jego pierwotny syn Albrecht Fryderyk Habsburg, zachęcony sukcesem Cieszyna, zdecydował się na



założenie kolejnego browaru, ulokowanego w Żywcu.

Jeszcze przed I wojną światową browar połączono z Fabryką Win i Likierów w Błogocicach. Przede wszystkim jednak stale go modernizowano, m.in. stare maszyny parowe zastąpiono nowoczesnymi, wyposażonymi w silniki Diesla.



1919 rok – Nacjonalizacja browaru w Cieszynie

Koniec I wojny światowej, upadek monarchii austro-węgierskiej i traktat wersalski przyniosły zmiany własnościowe. Nowym właścicielem

browaru, noszącego teraz nazwę: Państwowe Zamkowe Zakłady Przemysłowe w Cieszynie, został Skarb Państwa. Przez kolejnych kilkanaście lat znacjonalizowany browar był dzierżawiony przez warszawskich prominentów, skoliżanych m.in. z prezydentem Ignacym Mościckim. Potem przejęła go Dyrekcja Lasów Państwowych.



1939 rok – Ocalony przed rozgrabieniem

Okres II wojny światowej, tak bezwzględny dla wielu fabryk, okazał się dla cieszyńskiego browaru łaskawy. W znacznym stopniu dzięki zaangażowaniu jego pracowników, którym udało się



ukryć część urządzeń oraz surowców i tym samym uchronić majątek zakładu przed rozgrabieniem i wywiezieniem na teren Rzeszy.

1946 rok – Od Cieszyna do Żywca

Po zakończeniu wojny browar utracił swoją autonomię – został włączony w struktury Bielskich Zakładów Piwowarsko-Słodowniczych, a z czasem Zakładów Piwowarskich w Żywcu.

1989 rok – Nowoczesność kontra tradycja

Najnowsza historia browaru to z jednej strony częste zmiany jego nazwy (efekt zmian własnościowych), z drugiej – stała rozbudowa zakładu. Na szczęście niezmienną pozostała koncepcja cieszyńskiego browaru jako browaru lokalnego, mającego silnie rozpoznawalną lokalnie markę i stałą rzeszę odbiorców. Dziś liczba fanów piwa Brackiego stale się powiększa, a sława napoju z pianką z Browaru Zamkowego wykracza poza Cieszyn. A choć dzięki nowym inwestycjom cieszyński browar ma nową automatyczną kegownię, to jednak wciąż produkuje się w nim piwo w bardzo tradycyjny sposób, w otwartych

kadziach fermentacyjnych. Odkryte kadzie mieszczą się w starych, zabytkowych piwnicach browaru. Dzięki temu browar jest unikatem na skalę europejską, jedynym takim w Grupie Żywiec i jednym z nielicznych w Europie. W czerwcu 2011 obchodził swoje 165. urodziny. W tym samym roku browar znalazł się w grupie pięciu najlepszych polskich browarów w plebiscycie organizowanym przez jeden z najbardziej opiniotwórczych polskich piwnych portali Browar.biz.

2009 rok – Pierwsze uwarzenie Grand Championa

W Brackim Browarze Zamkowym po raz pierwszy uwarzono Grand Championa czyli najlepsze piwo domowe wyłonione w Konkursie Piv Domowych podczas Festiwalu Birofilia w Żywcu. Bracki Koźlak Dubeltowy według receptury Jana zawierał 20% ekstraktu i 8,9% alkoholu, jego skład został skomponowany z jasnego siodu pilzneńskiego, monachijskiego, wiedeńskiego, siodu Caraamber i dodatku mchu irlandzkiego. Po raz pierwszy Grand Champion Birofilia uwarzo-



ny w Browarze Zamkowym Cieszyn trafił do ogólnopolskiej sprzedaży 6 grudnia co zapoczątkowało nową piwną tradycję.

2015 roku – Zmiana nazwy na Browar Zamkowy Cieszyn

Bracki Browar Zamkowy zostaje wydzielony z Grupy Żywiec jako niezależny podmiot bizne-

sowy i zmienia nazwę na Browar Zamkowy Cieszyn. Na rynku pojawia się seria piw w różnych stylach pod marką Cieszyńskie. Rozpoczyna się nowa era w rozwoju browaru.

Materiały prasowe Grupa Żywiec

Baron Roman von Ungern-Sternberg

mongolskie bóstwo wojny w ciele rosyjskiego dowódcy

Robert Mikołaj Maksymilian von Ungern-Sternberg przyszedł na świat w 1886 roku w Austrii, jako potomek niemieckiej, arystokratycznej rodziny. Ungern-Sternbergowie mogli poszczycić się wielowiekowym wojskowym rodowodem. Wśród zasłużonych przodków mieli znajdować się między innymi piraci, krzyżowcy czy nawet sam Attyla! Mimo niemieckiego pochodzenia, Ungern-Sternbergowie związali się silnie z carami Rosji, za których od pokoleń oddawali swoje życia. Zgodnie ze zwyczajem, również Robert Mikołaj Maksymilian został (z inicjatywy ojca) przyjęty w rządzonej przez Rosję Estonii w szeregi carskiej arystokracji, jako Roman Fedorowicz. Sam zainteresowany całe swoje życie przedstawiał się jako Rosjanin. Rodzina Ungern-Sternberg, oprócz wojskowej, miała jeszcze jedną tradycję. U męskich potomków od pokoleń odnotowywane były przypadki pewnej mentalnej niestabilności, często postrzeganej wręcz jako szaleństwo.

Przypadłość dotknęła również młodego Romana Fedorowicza. Według świadków był niezwykle agresywny, a z równowagi wyprowadzić go mogła nawet najmniejsza drobnostka. Jego wzrok opisywano jako „spojrzenie bestii, szukającej swej ofiary”. Kilkukrotnie wyrzucano go z różnych szkół za przemoc, jakiej dopuszczał się względem rówieśników. W akademii wojskowej w Petersburgu, do której udał się następnie, sytuacja niewiele się zmieniła. Zrezygnował po otrzymaniu dwudziestu pięciu kar dyscyplinarnych za pojedynkowanie się z kolegami z klasy na szable i pistolety, oraz za szeroko pojętą agresję. Nauka utwierdziła go w przekonaniu, że zbyt

wiele myślenia jest równoznaczne z tchórzostwem. Rozgoryczony zaciągnął się do wojska jako podoficer. Problematycznego wyrostka, który odmówił udania się na Syberię (chciano go tam skierować ze względu na niedokończone szkolenie), wysłano wreszcie na front dopiero co rozpoczętej wojny rosyjsko-japońskiej.

Szaleniec oficerem



Von Ungern-Sternberg w 1907 roku w mundurze wojskowym (domena publiczna).

W latach 1906-1914 Ungern-Sternberg służył jako dowódca oddziału kozaków na Wschodzie.

To tutaj ujawniły się jego zainteresowania religiami wschodu, okultyzmem, magią i legendami. Otaczał się wszelkiego rodzaju szamanami, czarownicami i wróżbiarzami. Nauczył się nawet języka mongolskiego. Nosił na sobie niezliczone ilości różnych amuletów, mających go chronić i zapewniać przewagę w walce. Twierdził, że potrafi zobaczyć duszę i czytać w myślach człowieka, jeśli popatrzy mu w oczy wystarczająco długo. Przeszedł na buddyzm i stworzył własną sektę – „Zakon Wojskowych Buddystów”. Jego ludziom wolno było bez ograniczeń pozostawać pod wpływem wszelkiej maści alkoholi i środków psychoaktywnych tak długo, jak byli zdyscyplinowani i skuteczni w walce.



Młody Roman von Ungern-Sternberg (domena publiczna).

Tych, którzy go rozczarowali, czekał straszliwy los. Sławna jest historia, gdy Krwawy Baron ukarał grupę krnąbrnych podwładnych, rozbierając ich do bielizny i wrzucając do rzeki w samym środku mroźnej, dalekowschodniej zimy. Nieszczęśnicy przyciągnęli uwagę stada wilków, z którym musieli poradzić sobie gołymi rękami. O dziwo jednak, połowa z nich przeżyła. Bez względu na to, jak silni wojownicy z miejsca stali się elitarną gwardią Ungern-Sternberga.

I wojna światowa pozwoliła mu rozwinąć skrzydła. W czasie jej trwania dowodził brygadą kawalerii na froncie w Galicji. Był niezwykle skutecznym dowódcą, za co z resztą niejednokrotnie otrzymywał wyróżnienia i medale. Generał Wrangel, jego przełożony, wielokrotnie jednak pomijał go przy decyzjach o awansie. Ryzykowne było bowiem powierzać większą odpowiedzialność człowiekowi, który za nic miał wartość ludzkiego życia. Jego natarcia miały wszelkie cechy czystego szaleństwa. Bez zastanowienia atakował frontalnie ciężko umocnione pozycje, zupełnie ignorując krzyżowy ogień z broni maszynowej. W dodatku zawsze szarżował na czele swoich ludzi. Kilukrotnie jego oddział był wybijany do nogi. Barona Romana Fedorowicza nic nie było jednak w stanie zatrzymać.



Baron Roman von Ungern-Sternberg w 1921 roku w Mongolii (koloryzacja Normanfromthesea, Creative Commons Attribution-Share Alike 3.0 Unported).

Wiele razy otrzymywał postrzały, spadał z zastrzelonego w pełnym galopie konia, zostawał ciężko ranny w walce wręcz (jedną z opowieści właśnie ciosem szabli w czołkę tłumaczyła jego szaleństwo), a mimo wszystko wychodził cało z każdej opresji. Jego arystokratyczne pochodze-

nie pomogło mu kilkakrotnie, gdy dostawał się do niewoli. Wśród żołnierzy zyskał opinię nieśmiertelnego. Krytykowano go jednak za pośpieszne traktowanie skierowanych do niego poleceń oraz tendencję do chuligańskich i brutalnych wybryków poza służbą.



Proces szalonego barona (domena publiczna).

W wirze wojny domowej

Udział Rosji w konflikcie światowym zakończył się w 1917 roku obaleniem cara przez rewolucję, przewrotem bolszewickim i wybuchem wojny domowej. Ungern-Sternberg jako arystokrata opowiedział się oczywiście za przywróceniem starego porządku. Pod przywództwem innego „białego” generała, Grigorija Semenowa (podobno też psychopatycznego), udał się na południe do Turcji, gdzie zebrał grupę ochotników. Bolszewikom potrzebne były tereny Syberii i wschodnich rubieży Rosji ze względu na zasoby naturalne, dlatego tam właśnie postanowiono walczyć z „czerwonymi”. Konna armia Krwawego Barona rosła w siłę, rekrutując w swoje szeregi tak niebezpieczną, jak i niestabilną mieszankę Rosjan, Kozaków, Mongołów i Chińczyków. Jego samego mianowano nawet zarządcą małego miasta – Daurii.

Ambicje Romana Fedorowicza na tym się jednak nie kończyły. Miał obsesję na punkcie restauracji władzy carów i kultywowania wojskowych tradycji rodziny. Uznając się za spadkobiercę Dżyngis-chana, zbuntował się w końcu Semenowowi i na własną rękę postanowił wyzwolić Mongolię spod okupacji Chin. W 1920 roku otoczył stolicę kraju – Urgę (dzisiejsze Ułan Bator). Postanowił wziąć miasto podstępem. Na okolicznych wzgórzach porozpalał wielkie stopy, po czym wysłał do miasta wszystkich czarowników i przepowiadaczy przyszłości, którzy wędrowali razem z jego taborem. Zaczęli oni opowiadać, że ogromne ogniska to ofiary dla bogów, których oblegający proszą o zagładę każdego mieszkańca w mieście. Następnie rozpowiedzieli, że zbliża się straszliwy Baron Ungern-Sternberg, który jest kuloodporny, a w dodatku potrafi pojawiać się i znikać, gdy tego zechce. Wkrótce potem Fedorowicz zaatakował, odbijając bez większego trudu miasto z rąk przerażonych obrońców. Ogłosił niepodległość Mongolii, ustanawiając na jej tronie marionetkowego władcę Bogda-chana, a siebie kreując na gubernatora wojskowego odrodzonego kraju.

Już wcześniej Roman Fedorowicz popełniał niezliczone okrucieństwa. Jednak przez kolejne sześć miesięcy po zdobyciu Urgi pracował na swoją krwawą renomę ze zdwojoną siłą przy pomocy wymyślnych tortur, które stosował zarówno na wrogach, jak i bezbronych cywilach. Poza wspomnianymi już wcześniej zwyczajami wrzucania do lodowatej rzeki i szczucia dzikimi zwierzętami, potrafił też swoje ofiary ciągnąć na linach za ciężarówkami, rozrywać na pół za pomocą dwóch napiętych konarów, ćwiartować, wypruwać wnętrzności czy przywiązywać nago do drzew i pozostawiać na śmierć. Nienawidził zwłaszcza bolszewików i żydów. Mongołowie uważali go za *Tsagan Burkhan* – wcielenie boga wojny, a Bogda-chan obwołał nawet Fedorowicza oficjalnie inkarnacją *Mahakala* – „Gniewnego Boga”.



Ferdynand Antoni Ossendowski, polski pisarz, towarzysz von Ungern-Stenberg (domena publiczna).

Nie mogło też oczywiście zabraknąć w tej historii polskiego wątku. Doradcą i biografem Ungern-Sternberga w Mongolii był Polak – Ferdynand Ossendowski. Jego dokładna rola u boku Barona jest owiana tajemnicą, sam Ossendowski mówił o niej bardzo niechętnie. Prawdopodobnie było to jednak coś istotnego. Według pewnej opowieści Ossendowski znał położenie ukrytego przez Barona gdzieś na terenie Mongolii wielkiego skarbu, który miał posłużyć do sfinansowania kolejnej wojny z bolszewikami.

Kariera Barona Romana von Ungern-Sternberga dobiegła końca, gdy w sierpniu 1921 roku postanowił z sześcioma tysiącami ludzi zaatakować Syberię, obalić Lenina i oddać władzę w ręce brata zdetronizowanego cara – Michaiła Romanowa. Pomijając fakt, że Michaił Romanow nie żył już od kilku lat, wyprawa z góry była skazana na niepowodzenie. Lotne oddziały kawalerii nie miały szans we frontalnym starciu z bronią pancerną i maszynową. Mimo wszystko Ungern-Sternberg nacierał tak samo psychotycznie i bezwzględnie, jak w czasie I wojny światowej. Jego zdziesiątkowane oddziały wreszcie się zbuntowały i oddały go w ręce komunistów.

Rozkaz stracenia przez rozstrzelanie został wykonany 17 września 1921 roku. Przed egzekucją Baron włożył do ust swój najcenniejszy medal (Krzyż Św. Grzegorza za odwagę, z którego Fedorowicz był szczególnie dumny i który zawsze nosił przy sobie) i pogryzł go, aby nie dostał się w bolszewickie ręce. W czasie wykonywania wyroku jedna z kul odbiła się od licznych, noszonych przez Barona talizmanów i rykoszetując, zraniła żołnierza z plutonu egzekucyjnego.

Bibliografia:

- *Baron Ungern-Sternberg, meteoric nutter* [w:] „Telegraph” 23 marca 2008 roku [dostęp: 5 lutego 2018 roku] <http://www.telegraph.co.uk/culture/books/non_fictionreviews/3672047/Baron-Ungern-Sternberg-meteor-nutter.html>.
- *Baron von Ungern-Sternberg, 1885-1921: Bloody White Baron* [w:] A History Blog, 14 sierpnia 2012 roku [dostęp: 5 lutego 2018 roku] <<http://ahistoryblog.com/2012/08/14/baron-von-ungern-sternberg-1885-1921-bloody-white-baron/>>.
- Goodwin Jason, *Mongolia and the Madman* [w:] „The New York Times”, 20 lutego 2009 roku [dostęp: 5 lutego 2018 roku] <http://www.nytimes.com/2009/02/22/books/reviw/Goodwin-t.html?_r=0>.
- *Monarchist Profile: Baron Ungern-Sternberg* [w:] The Mad Monarchist, 16 maja 2011 roku [dostęp: 5 lutego 2018 roku] <<http://madmonarchist.blogspot.com/2011/05/monarchist-profile-baron-ungern.html>>.
- Palmer James, *The Bloody White Baron: The Extraordinary Story of the Russian Nobleman Who Became the Last Khan of Mongolia*, Faber & Faber, 2008.
- Spence Richard, *The „Bloody” Baron von Ungern-Sternberg: Madman or Mystic?* [w:] „New Dawn” [dostęp: 5 lutego 2018 roku] <<http://www.newdawnmagazine.com/articles/the-bloody-baron-von-ungern-sternberg-madman-or-mystic>>.
- Strzyga Lucjan, *Polski Karol May przed wojną wydał 80 mln książek. PRL zmiotł go z półek*, „Dziennik Zachodni”, 5 stycznia 2012 roku.

Mateusz Balcerkiewicz

materiał został opublikowany na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 3.0 Polska. miejsce pierwotnej publikacji – Portal historyczny Histmag.org

Wołyń.

Krwawa epopeja Polaków

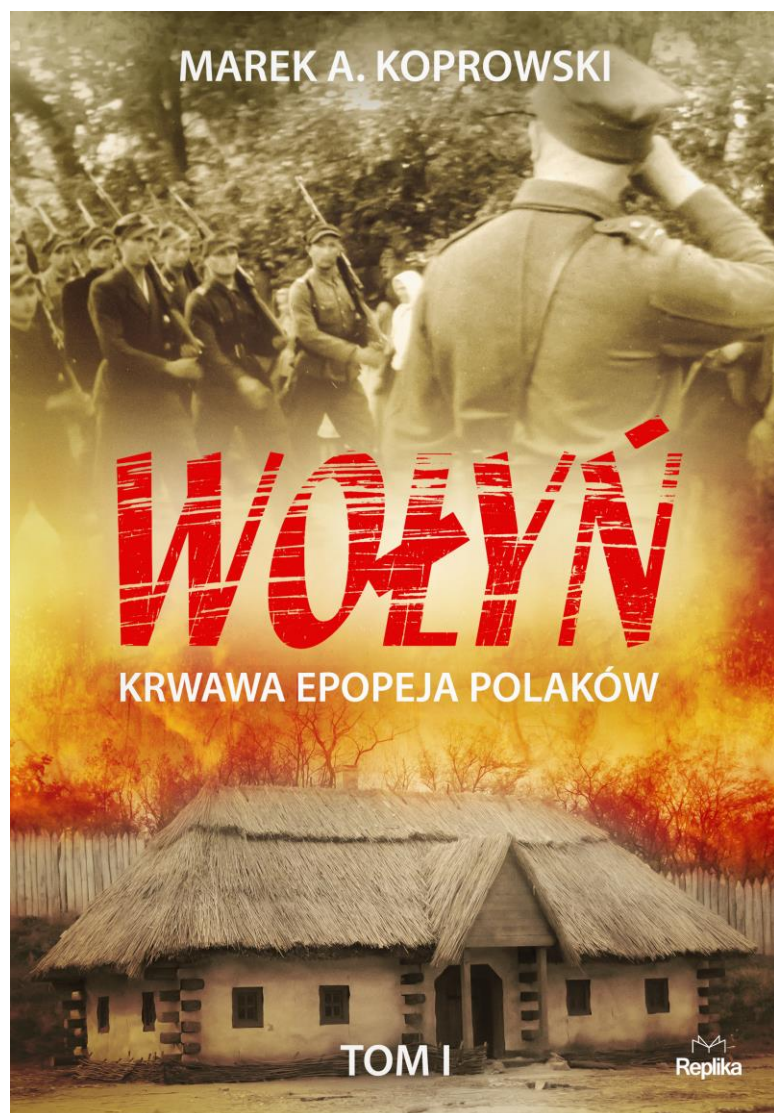
Wstrząsające wspomnienia bezpośrednich świadków tragicznego losu Polaków na Wołyniu

Wołyniacy doświadczyli strasznych i dramatycznych wydarzeń. Stali się przedmiotem aktów nieludzkiego terroru ze strony Sowietów, Niemców i ukraińskich nacjonalistów. W walce z nim Polacy zdobywali się na brawurowe przejawy heroizmu. Fenomenem stały się ośrodki samoobrony, tworzone *ad hoc*, by bronić mieszkańców Wołynia przed całkowitą eksterminacją, zaplanowaną przez kierownictwo Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów.

Książka zawiera liczącą kilkaset nazwisk, unikatową listę obrońców Przebraża, ustalonych przez śp. ppłk. Mirosława Łozińskiego.

Podobnym fenomenem była powstała z ocalałych z rzezi regularna dywizja Armii Krajowej. Sformowana w latach 1943–1944 27 Wołyńska Dywizja Piechoty w marcu 1944 roku osiągnęła stan ok. 6 tys. żołnierzy. Tworzyli ją mieszkańcy Wołynia, którzy w obronie przed OUN i UPA samorzutnie chwycili za broń, cichociemni, a nawet partyzanci, których regularny uzbrojony oddział wraz z dowódcą Janem Kiwerskim „Oliwą” przyjechał ciężarówkami z Warszawy. Formalnie zmobilizowana rozkazem z 15 stycznia 1944 r., wzięła udział w akcji „Burza” na Kresach.

Większość autorów zamieszczonych w niniejszym tomie relacji była członkami polskich oddziałów samoobrony i AK. Jednak ich wspomnienia mają wymiar znacznie szerszy. Są dokumentem rachunków jeszcze niezamkniętych. Przepenia je groza sytuacji, duma z walczących i rozczarowanie nierozliczeniem zbrodni. Zbrodniarzy nie tylko nie napiętnowano, ale chodzili oni wiele lat w aureoli bohaterów narodowych. Natomiast wiele ofiar tych zwyrodnialców nigdy nie doczekało chrześcijańskiego pogrzebu i do dziś nie ma grobów.



Józef Beck



Działania polskiej dyplomacji na arenie międzynarodowej w latach 30. XX wieku nierozzerwalnie łączą się z postacią Józefa Becka. Ten dyplomowany pułkownik artylerii, członek Polskiej Organizacji Wojskowej oraz bliski współpracownik marszałka Józefa Piłsudskiego kierował Ministerstwem Spraw Zagranicznych II Rzeczypospolitej w latach 1932–1939, zaś podejmowane przez niego decyzje do dziś wzbudzają wiele kontrowersji.

W 1932 roku, zaraz po nominacji na stanowisko szefa dyplomacji, Beck rozpoczął prowadzenie polityki zachowywania równych odległości między Berlinem, Warszawą i Moskwą. Widocznym rezultatem jego zabiegów stało się podpisanie 25 lipca 1932 roku paktu o nieagresji z ZSRR oraz doprowadzenie 26 stycznia 1934 roku do zawarcia podobnego układu z III Rzeszą. Posunięcia te miały w myśl założeń Józefa Piłsudskiego zapewnić bezpieczeństwo polskim granicom, które trwale zagrożone były agresją ze strony potężnych sąsiadów.

Śmierć nieformalnego przywódcy państwa, jakim był marszałek, postawiła Becka oraz cały obóz sanacji przed nowymi wyzwaniami. Od 1936 roku nazistowskie Niemcy coraz śmieiej zaczęły łamać zapisy traktatu wersalskiego, co nie spotkało się z żadną stanowczą reakcją mocarstw zachodnich. Uwieńczeniem polityki ustępstw względem agresywnych działań Adolfa Hitlera była konferencja w Monachium (29–30 września 1938 roku), podczas której *de facto* Wielka Brytania i Francja przyzwoliły na rozbiór Czechosłowacji przez III Rzeszę.

Monachijskie spotkanie na szczycie oraz problemy południowych sąsiadów wykorzystają wojska II Rzeczypospolitej, wkraczając 2 października 1938 roku na sporny obszar Zaolzia. Jednym z pomysłodawców przyłączenia do Polski tych ziem był Józef Beck. Dodać niestety należy, że postępowanie rządu w Warszawie krytycznie wówczas oceniała europejska opinia publiczna, która zaliczyła Polskę do grona państw mogących zagrażać, obok m.in. Niemiec i Włoch, pokojowi na Starym Kontynencie.

Beck w swoim słynnym przemówieniu sejmowym z 5 maja 1939 roku ostatecznie odrzucił propozycje wcześniej składane Polsce przez niemieckiego ministra spraw zagranicznych Joachima von Ribbentropa. Władze II Rzeczypospolitej nie zgodziły się na anektowanie Wolnego Miasta Gdańska do III Rzeszy oraz budowę eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej, które miałyby połączyć Prusy Wschodnie z pozostałą częścią Niemiec. Zachodni sąsiad proponował Polsce, w ramach rekompensaty, udział w pakcie antykominternowskim wymierzonym w ZSRR oraz wydłużenie układu o nieagresji z dziesięciu do dwudziestu pięciu lat. Strona polska mimo nacisków jednak odmówiła, co definitywnie miało przesądzić o wybuchu wojny.

Paweł Cichocki

Fotografia: *Józef Beck* wygłaszający przemówienie w Sejmie 5 maja 1939, zdjęcie z tygodnika Światowid, [Wikipedia](#), Domena Publiczna.

Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych jeszcze 25 sierpnia 1939 roku, odpowiadając na niemiecko-sowiecki pakt Ribbentrop-Mołotow, doprowadziło do zawarcia sojuszu z Wielką Brytanią. Jednak już wkrótce miało się okazać, że porozumienie to jest w rzeczywistości niewiele warte. Po ataku Niemiec i agresji sowieckiej na II Rzeczypospolitą, w nocy z 17 na 18 września 1939 roku Józef Beck wraz z innymi członkami polskiego rządu został internowany po przekroczeniu granicy z Rumunią w Kutach.

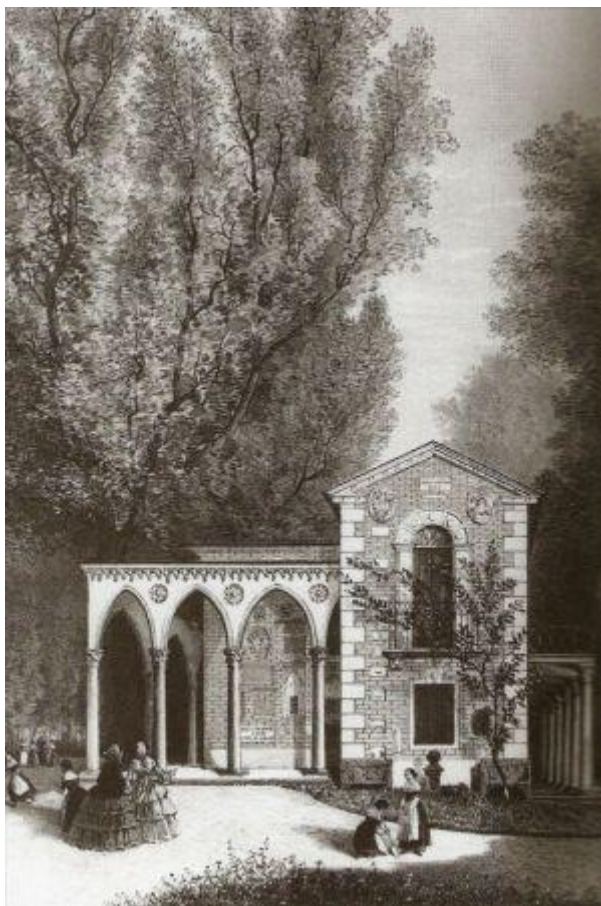
Były już minister marzył, żeby odegrać podczas światowego konfliktu ważną rolę w walce o sprawę polską. Podejmowane przez niego próby przedostania się na Zachód były jednak skutecznie blokowane, szczególnie przez środowisko skupione wokół nowego premiera polskiego rządu, gen. Władysława Sikorskiego, który jako przeciwnik ideowy sanacji oskarżał piłsudczyków o wrześniową klęskę. Podczas pobytu w Rumunii dyplomata spisał swoje wspomnienia, które zostały później wydane jako *Ostatni Raport*. Józef Beck zmarł na gruźlicę 5 czerwca 1944 roku w Stănești (Rumunia). W chwili śmierci miał 49 lat.



Kolekcja Tytusa Działyńskiego dla Polski, nie dla siebie

Ponoć Izabela Czartoryska szczyliła się, że w swoich zbiorach posiada dwie czaszki słynnego astronoma: Kopernika-dziecka oraz Kopernika u kresu życia. Bez względu na to, ile z tej anegdoty jest prawdą a ile historią żyjącą własnym życiem, podkreślić należy, że XIX wiek to czas, w którym zamki, pałace i dworki zamieniają się w repozytoria narodowych pamiątek. To właśnie wówczas wspomniana Izabela Czartoryska tworzy pierwsze na ziemiach polskich muzeum: w Domku Gotyckim oraz Świątyni Sybilli w Puławach. Do dziś zresztą w zbiorowej polskiej pamięci żona Adama Kazimierza Czartoryskiego funkcjonuje jako ta, która jako pierwsza stworzyła świątynie narodowych pamiątek.

Dla dalszej historii tego artykułu istotny jest jednak nie sam fakt stworzenia przez Czartoryską puławskiego muzeum, ale jej rodzina i towarzystwo. Podczas gdy Izabela kolekcjonowała czaszki Kopernika w różnym okresie jego życia, jej córka, Zofia Zamoyska miała nie lada problem – musiała wydać swoją najstarszą córkę za mąż. Do ręki Gryzeldy Celestyny kandydował m.in. Adam Konstanty Czartoryski czy książę Jabłonowski. Był jeszcze jeden kandydat – ziemianin



z Wielkopolski. Zofia nie traktowała go jednak poważnie, pomimo faktu, że jego siostra, Klaudyna Potocka, przyjaźniła się z Celestyną. Wielkopolanin ujął jednak babkę panny młodej swoją kolekcjonerską pasją. Ponoć Izabeli tak bardzo spodobał się kandydat, że nie tylko lobbowała za nim, ale także – po wyrażeniu zgody na ślub przez rodziców Celestyny – wyprawiła młodej parze huczne wesele w Puławach. Osobą, która tak bardzo ujęła Czartoryską i pokonała konkurentów w walce o rękę Celestyny był nie kto inny, jak Tytus Działyński.

Rama dla historycznych pamiątek

Rękopisy, starodruki czy wreszcie artefakty przypominające o chwalebnej przeszłości Polski były oczkiem w głowie Tytusa Działyńskiego. To im podporządkował rozbudowę kórnickiego zamku, który przypadł mu podczas podziału majątku. Chciał, by rezydencja ta była „przepyszną ramą do tych pamiątek historycznych, do tych księgozbiorów, których się czuję wobec narodu stróżem”. Swoim zapałem dla tworzenia miejsca, w którym zgromadzone będą polskie pamiątki ujął wielu – nie tylko księżną Czartoryską. Józef Maksymilian Ossoliński pisał o młodym Dzia-

łyńskim do swojego przyjaciela, Ambrożego Grabowskiego w 1820 roku:

Mam ci zaś prawdziwą obligacją za adresowanie do mnie JW. Działyńskiego. Prawdziwą mi pociechę przyniosła znajomość z nim, ile że niegdyś z ojcem i stryjem do szkół chodziłem. Ma obszerne i użyteczne zamysły. Wcale zdaje się być do wykonywania ich skrzepł.



Edward Raczyński (aut. Adolf Henning, domena publiczna).

Działyński nie był jednak jedyną osobą w Wielkopolsce, która powzięła zamiar stworzenia czegoś na kształt muzeum. Nieco wcześniej, bo w latach 1814-1816 Edward Raczyński przebudował pałac w Rogalinie i urządził tam również gotycką zbrojownię, w której swoje miejsce znalazł zbiór militariów oraz innych pamiątek historycznych. Kilka lat później Raczyński postawił w centrum Poznania gmach biblioteki – marzył zresztą także o wybudowaniu budynku muzealnego, jednak władze pruskie nie zgodziły się na taki ruch.

Mając tę sytuację w pamięci Działyński nie zdecydował się na budowę drugiego gmachu, wybierając przystosowanie wnętrza kórnickiego zamku do przechowywania narodowych pamiątek. Ponieważ gmach musiał stanowić godną

oprawę dla kórnickich zbiorów, Tytus nie chciał iść na żadne ustępstwa. Jego wnuczka, Maria Zamoyska, autorka tekstu pt. *Wspomnienia. Przewodnik po zamku z 1929 roku* wspominała:

Gdy pan Tytus Działyński żądał od miejscowego rzemieślnika, by mu ją w ten sposób wyrzeźbił, ten się bronił, mówiąc, panie hrabio, ja nie dam temu rady, nie mam odpowiednich narzędzi, a mój dziadek do niego: człowieku jak nie możesz łapami to zrób zębami, ale musi być.

Działyński zdecydował o przebudowie zamku w stylu neogotyckim. Dla narodowych pamiątek miało to tworzyć odpowiednią oprawę nawiązującą do średniowiecza. Takie posunięcie dla twórcy Biblioteki Kórnickiej jawiło się jako manifestacja ciągłości tradycji. O świetności dawnych lat miała przypominać dekoracja Sali Jadalnej – umieszczone na jej stropie siedemdziesiąt tarcz herbowych rycerstwa polskiego, które odwzorowane zostały na podstawie *Klejnotów* Jana Długosza.

Spadki, prezenty, zakupy....



Tytus Działyński (domena publiczna).

Trzon pod muzealną kolekcję podłożyły pamiątki po przodkach: kolekcja złotnicza odziedziczona po Pawle i Magdalenie z Leszczyńskich.

Oczkiem w głowie właściciela Kórnika były militaria – w głównej mierze odziedziczone po Władysławie Gurowskim i dziadku Augustynie Działyńskim – w tym „koncerz usarski” i buzdycan „szczerozłoty” oraz broń: dwie pary „staroświeckich” pistoletów. Zdarzały się także dary. Zaprzyjaźniony z Działyńskimi Leon Sapieha podarował Tytusowi zbroję husarską ze skrzydłem, która do dziś znajduje się w zamkowych zbrojowniach. Z kolei w 1857 roku generał Józef Załuski wręczył Tytusowi pałasz Żółkiewskiego ze skarbcza Lubomirskich. Prezentami były także przedmioty wykraczające poza czasy świetności Polski. Od córki swojej kuzynki, Wincenty z Błędowskich Jaźwińskiej, otrzymał miecz znaleziony w korycie Dniestru, pochodzący najprawdopodobniej z IX lub VIII w. p.n.e.



Zbroja husarska z kolekcji Działyńskich (fot. MARELBU, opublikowano na licencji Creative Commons Attribution 3.0 Unported).

Oczywiście, kolekcja Działyńskiego nie była jedynie spuścizną po przodkach oraz zbiorem prezentów – znany z zamiłowań kolekcjonerskich Działyński chętnie nabywał również różnego rodzaju artefakty. Najważniejsze były dla niego dwa pytania: „do kogo przedmiot należał?” oraz „z jakim okresem historycznym się wiązał?”. Zbierał więc uzbrojenie polskiego rycerstwa, kolekcje malarstwa, pasy kontuszowe,

rzędy końskie, przedmioty użytkowe i meble. W 1851 roku, wracając z Wystawy Światowej w Londynie, Działyński zatrzymał się w Kilonii, gdzie nabył „szyszak i miecz polski dziwnie ciekawe”. To także on zapoczątkował kórnickie zbiory numizmatyczne. Wielokrotnie jednak podkreślał konieczność gromadzenia tego typu zabytkowych przedmiotów. Przypominał, ile istotnych dla polskiej świadomości zbiorów już zaginęło lub zostało zniszczonych, jak np. klejnoty koronne, szczyrbiec Bolesława czy zasób biblioteki Załuskich. Mawiał:

Ja nie dla mego imienia, ale dla mego kraju zbierałem. Więc czy Czartoryski, czy Zamoyski będzie te zbiory posiadał, mniejsza mi o to, bylebym widział, że familia jest zachętą i rękomią do posługi kraju.

Warto zaznaczyć, iż Działyńskiego nie interesowały wyłącznie eksponaty muzealne. Dbał również o to, by gromadzone przez niego przedmioty użytku codziennego były estetyczne. O zakupie mebli decydowały względy artystyczne. Kupował je w antykwariatach oraz na aukcjach; zdarzało się także, że zlecał miejscowym stolarzom wykonanie mebli na podstawie dostarczonych rysunków. Cenił sobie meble gdańskie, uchodzące za reprezentacyjne i polskie. Dbał także o powiększanie się kórnickiej galerii – z jednej strony zależało mu na obrazach przedstawiających jego przodków, z drugiej na kupowaniu dzieł przedstawiających osoby i wydarzenia związane z historią Polski.

O zebrane przedmioty Działyński niezwykle się troszczył. Choć brakowało mu pieniędzy na suknie dla córek, fortunę wydawał na zakupy kolejnych pamiątek historycznych oraz ich konserwację. W zbiorach kórnickich zachował się rachunek rusznikarza, Pawła Wolframa z 1828 roku za konserwację dwudziestu ośmiu sztuk broni i zakup jednej nowej strzelby, opiewający na kwotę 100 talarów. Postarał się także o szafę do przechowywania militariów – w liście do żony Celestyny prosił, by sporządziła rysunek szafy na broń, która znajdowała się w jej rodzinnym domu, Pałacu Błękitnym w Warszawie. Kórnickie militaria, w tym m.in. zbroja husarska, prezentowane były na Wystawie Starożytności i Zabytków Sztuki w Krakowie w 1858 roku.

Niebo i ziemia dla zbrojowni, biblioteki i zbiorów



Jan Działyński (aut. Leon Kapliński, domena publiczna).

Tytus Działyński zmarł w 1861 roku, a kórnicki zamek na mocy tytusowego testamentu trafił w ręce jego syna Jana, który od czterech lat żonaty był z Izabelą z Czartoryskich. Małżonków dzieliło wiele. Wychowana w Paryżu Izabela, której biografii zatytułowano *Panna Lodowata*, nie potrafiła odnaleźć się w wielkopolskiej

rzeczywistości. Jeśli jednak było coś, co Jana i Izabelę łączyło, była to niewątpliwie kolekcjonerska pasja.

Początkowo siedzibą młodych Działyńskich był Gołuchów, który w 1872 roku Izabela przejęła od męża. Artefaktów do swojej kolekcji Jan poszukiwał głównie w Paryżu, gdzie ze względu na rodzinę żony oraz działalność konspiracyjną często przebywał. Jeszcze za życia ojca Jan często donosił mu o znaleziskach, które mogłyby zainteresować Tytusa, np. o „ślicznej fuzyi z herbami Polski, Litwy i Saksoni”. Również w Paryżu, w 1856 roku Jan kupił rzeczy (w tym szpadę) zastawione przez generała Józefa Bema. Do znajdowania eksponatów na wystawy namawiał również pozostałych członków swojej rodziny – kiedy jego siostra, Jadwiga Zamoyska, przebywała w Stambule, tłumaczył jej: „Powinnaś się szczerze wziąć do tego, żeby poruszyć ziemię i niebo dla zbrojowni, biblioteki i zbiorów numizmatycznych Gołuchowa”.

Do 1869 roku Janowi udało się zgromadzić kolekcję ponad stu naczyń antycznych, zgromadzonych w wyniku podróży do Italii: Rzymu, Neapolu i Noli. Wykopaliska prowadzone w pobliżu tej ostatniej miejscowości Jan Działyński osobiście opłacał. Jego zbiory szybko zdobyły rozgłos w Paryżu – na ich temat powstały nawet prace naukowe, opublikowane przez Jana de Witte oraz Henri Longperiera. Na mocy umowy między małżonkami kolekcja ta przeszła wraz z dobrami gołuchowskimi w ręce żony Działyńskiego.



Zamek w Gołuchowie (fot. Diego Delso, opublikowano na licencji Creative Commons Attribution-Share Alike 4.0 International).

Choćby nam przeciwnicy wszystko zabrać chcieli...

Najstłynniejszą do dziś salą kórnickiego zamku pozostaje Sala Mauretańska, inspirowana dziełami w lwów w andaluzyjskiej Alhambrze. Według Kamili Kłudkiewicz miała być ona ukrytym kodem znaczeń. Sala Mauretańska znajdowała się w obrębie pozornie bezpiecznych warownych murów kórnickiego zamku, który znajdował się na terytorium wrogiego zaboru pruskiego. Podobnie jak Alhambra, muzułmańska oaza w środku chrześcijańskich ziem, była symbolem narodu, który czeka na swoje odrodzenie. W 1861 roku Jan Działyński przeznaczył Salę Mauretańską na cel muzealny, natomiast na poddaszu zdecydował się umieścić bibliotekę.

Gość Działyńskich zwiedzanie rozpoczynał od zbrojowni, by następnie przejść w kierunku Sali Mauretańskiej, która miała być miejscem eksponującym potęgę stanu szlacheckiego. Poszczególne przedmioty posegregowano nie w ujęciu chronologicznym, lecz w oparciu o jego prze-

znaczenie: naczynia, klejnoty, medale, pasy czy makaty. Jan Działyński wyeksponował także pamiątkę po swojej ciotce – fortepian siostry Tytusa, czyli Klaudyny Potockiej, na którym, zgodnie z tradycją rodzinną, grał sam Fryderyk Chopin. Warto jednak zaznaczyć, że wówczas kórnickich zbiorów nie udostępniano w ramach stałej ekspozycji, dostępnej dla wszystkich chętnych – prezentowane były one głównie na wystawach. Część ze zbiorów nie znajdowała się w części muzealnej, lecz mieszkalnej, jako przedmioty codziennego użytku lub w czarnych, oszklonych szafach-witrynach. Osobno przechowywane były także pasy kontuszowe, dla których w 1860 roku zamówiono specjalne urządzenie ze szpulami do ich nawijania.

Część zbiorów – z powodu braku dla nich odpowiedniego miejsca – była przewożona pomiędzy posiadłościami Działyńskich. Paczki ze zbiorami wędrowały więc pomiędzy Kórnikiem, poznańskim pałacem a Gołuchowem. Swoje zbiory Jan Działyński prezentował także poza Kórnikiem: na Wystawach Powszechnych w Paryżu w 1867 i 1878 roku — podczas tej ostatniej osobiście doglądał ich rozmieszczenia w Pałacu Trocadero.



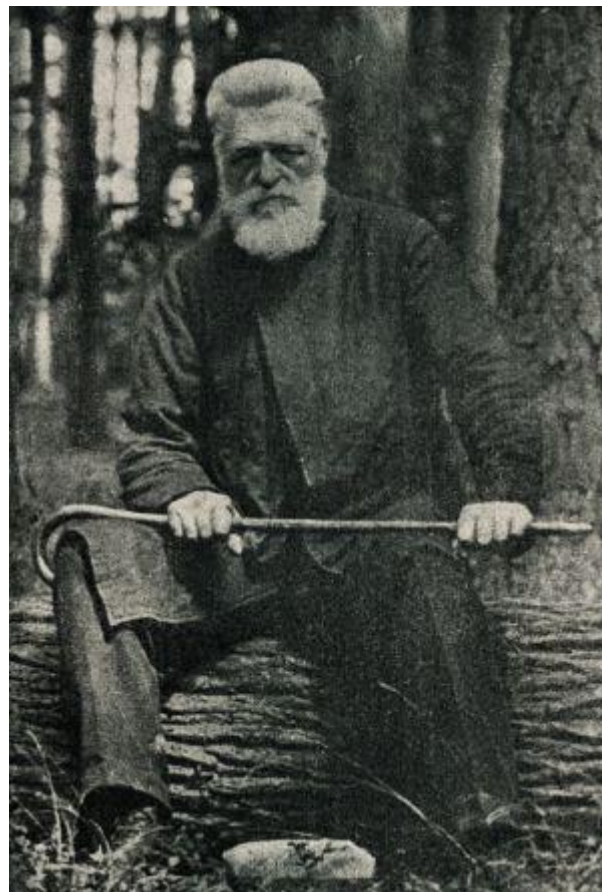
Zamek w Kórniku (fot. Abuassim, opublikowano na licencji Creative Commons Attribution-Share Alike 3.0 Poland).

Pomimo faktu, że Jan Działyński podążał własną ścieżką podczas tworzenia kolekcji i nie kierował się ślepo za kolekcjonerskimi tradycjami ojca, pod wieloma względami przypomniał Tytusa. W 1875 roku w lokalnym dwutygodniku „Kórniczanie” pojawił się krótki artykuł napisany przez Zygmunta Celichowskiego, sekretarza Jana oraz zarządcę kórnickich zbiorów. Tekst był najprawdopodobniej konsultowany z Działyńskim, a autor artykułu nawoływał do zachowywania wszelkich pamiątek i zabytków historycznych

choćby nam przeciwnicy nasi wszystko zabrać chcieli, to wydrzeć nam nie mogą pamięci świetnej o naszej przeszłości... zachowujmy tedy w sercu te czyny świetne będące naszą chlubą a pochodnią dla następnych pokoleń i starajmy się bronić od zatury wszelkie pomniki i zabytki... wszystko to są świadkowie przemawiający o tym... że i my byliśmy... potężnym i zasłużonym w dziejach narodem.

Dla przechowania i uczczenia pamięci najszlachetniejszych wśród obcych

Po śmierci Jana Kórnika – wraz z biblioteką i zbiorami muzealnymi – przeszedł w ręce siostrzeńca ostatniego Działyńskiego, czyli Władysława Zamoyskiego. On jednak przez długi czas przebywał poza Wielkopolską, a kórnickimi zbiorami zainteresował się dopiero na początku XX wieku. W obawie przed ingerencją zaborcy w zbiory zastanawiał się nawet nad sprzedażą rodzinnego Pałacu przy poznańskim Rynku. Kupcem miał być Witold Kazimierz Czartoryski, a po sprzedaży poznański pałac miał stać się „rodzinną instytucją”, która łączyłaby zbiory z Kórnika i Gołuchowa (właścicielka Gołuchowa zmarła w 1899 roku). Do sprzedaży i scalenia zbiorów jednak nie doszło. Sam Zamoyski z resztą też przyczynił się do rozbudowy kórnickich zbiorów — do kolekcji przekazał zbiory etnograficzne przywiezione z podróży po Australii.



Hrabia Władysław Zamoyski, ostatni właściciel Kórnika (domena publiczna).

W 1924 r., Zamoyski przekazał całe swoje dobra – zamek, kolekcję dzieł sztuki, zbiory bibliofilskie oraz Arboretum – narodowi polskiemu. Spełniło się w ten sposób marzenie Tytusa Działyńskiego, by pamiątki były w odrodzonej Polsce obiektami muzealnymi. Do idei twórcy Biblioteki Kórnickiej odwoływał się także czwarty punkt ustawy z dnia 30 lipca 1925 roku o „Zakładach Kórnickich”, który głosił:

Utrzymanie Zamku w Kórniku, ku pamięci tego, co Polska przecierpiała, jak się jej synowie Ojczyźnie zasłużyli, dla przechowania i uczczenia pamięci najszlachetniejszych wśród obcych, którzy wobec Polski zasługi położyli, jej się w czasach prześladowań i najsroższych ucisków przyjaciółmi okazali.

Zbiory zgromadzone przez Tytusa i Jana Działyńskich oraz Władysława Zamoyskiego przetrwały do dziś – i wciąż przyciągają do Kórnika rzesze turystów. Wiele z nich zostanie wkrótce zdigitalizowanych w ramach projektu: „Cyfrowe udostępnianie zasobów Polskiej Akademii Nauk – Biblioteki Kórnickiej”

Bibliografia:

- Bątkiewicz Edyta, *Tytus Działyński (1796-1861). Polityk. Społecznik. Twórca kultury* [w:] Repozytorium Uniwersytetu im. A. Mickiewicza [dostęp: 11 listopada 2017 roku] <<https://repozytorium.amu.edu.pl/handle/10593/1063>>.
- Dolczewska Barbara, Dolczewski Zygmunt, *Historia Zbrojowni Zamkowej*, „Pamiętnik Biblioteki Kórnickiej” 2007, z. 28, s. 183-215.
- Kłudkiewicz Karolina, *Kolekcjoner na rozdrożach. Jan Działyński i kórnicka kolekcja dzieł sztuki w drugiej połowie XIX wieku – ekspozycja pomiędzy romantycznym duchem patriotyzmu a nowoczesnym ujęciem naukowym*, „RIHA Journal”, 27 May 2011 [dostęp: 20 kwietnia 2018 roku] <<http://www.riha-journal.org/articles/2011/2011-apr-jun/kłudkiewicz-kolekcjoner-na-rozdrozach>>.
- Mężyński Andrzej, *Jan Działyński 1829-1880. Ostatni z rodu*, Biblioteka Kórnicka, Kórnik 2002;
- Naganowski Tomasz, *Udostępnianie zbioru pamiątek historycznych w Kórniku w okresie zaborów*, „Pamiętnik Biblioteki Kórnickiej” 1982, z. 19, s. 111-160.
- Potocki Mikołaj, *Maria Zamoyska. Wspomnienia o zamku i tradycjach rodowych Działyńskich i Zamoyskich*, „Pamiętnik Biblioteki Kórnickiej” 2016, t. 33, s. 209-234.
- Potocki Stanisław Kazimierz, Wysocka Barbara, *Tytus Działyński 1796-1861*, Biblioteka Kórnicka, Kórnik 2014;

Agata Łysakowska

materiał został opublikowany na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 3.0 Polska. miejsce pierwotnej publikacji – Portal historyczny Histmag.org



Ryszard Kukliński



„Jack Strong” i „Mewa” – to dwa pseudonimy, pod którymi ukrywał się pułkownik Ryszard Kukliński, jeden z najsłynniejszych agentów działających na rzecz amerykańskiego wywiadu (Central Intelligence Agency) w okresie trwania zimnej wojny. Kukliński, pomimo upływu czasu, to wciąż postać niejednoznaczna i wzbudzająca w Polsce kontrowersje. Przez jednych uznawany jest za bohatera narodowego, który uprzedzając Stany Zjednoczone o sowieckich planach wojny atomowej, uratował kraj i inne państwa Bloku Wschodniego od zagłady. Przez drugich z kolei odsądzany od czci i wiary za złamanie przysięgi wojskowej oraz zdradę ojczyzny.

Przyszły pułkownik Wojska Polskiego oraz współpracownik CIA przyszedł na świat w Warszawie 13 czerwca 1930 roku. Wychowywał się i dorastał w rodzinie robotniczej, silnie związanej z tradycją Polskiej Partii Socjalistycznej. Ojciec Ryszarda, Stanisław, był podczas II wojny światowej członkiem konspiracyjnej organizacji niepodległościowej „Miecz i Pług” i poniósł śmierć

w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. Postawa rodzica, jak się później okazało, w dużej mierze uformowała charakter syna.

Karierę w armii Kukliński rozpoczął w 1947 roku, wstępując w szeregi Oficerskiej Szkoły Piechoty we Wrocławiu. W związku z ujawnieniem jego powiązań z „Mieczem i Pługiem” zo-

stał zdegradowany. Wkrótce jednak zaczął odzyskiwać zaufanie swych przełożonych, co wiązało się ze stopniowym awansem. W 1963 roku zaczął pracować w Sztapie Generalnym Wojska Polskiego, gdzie dosłużył stanowiska szefa zarządu operacyjnego i kierownika oddziału planowania strategiczno-obronnego.

W 1968 roku Ryszard Kukliński jako oficer sztabowy brał udział w opracowywaniu planów inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Ten epizod z jego życiorysu oraz brutalna pacyfikacja wystąpień robotniczych na Wybrzeżu przez wojsko, którą obserwował w grudniu 1970 roku, miały wpłynąć na jego decyzję o nawiązaniu współpracy z CIA.

W latach 70. XX wieku polski pułkownik sukcesywnie przekazywał Amerykanom plany strategiczne ZSRR i całego Układu Warszawskiego, w tym również schematy ataku na kraje Północnoatlantyckiego. Administracja Białego Domu w Waszyngtonie została uprzedzona przez Kuklińskiego również o przygotowaniach do wprowadzenia stanu wojennego w Polsce.

Paweł Cichocki

Ilustracja: *Legitymacja Żołnierza Zawodowego Ryszarda Kuklińskiego*, [Wikipedia](#), Domena Publiczna.

W nocy z 7 na 8 listopada 1981 roku obawiający się dekonspiracji agent został wraz z żoną i dwoma synami potajemnie ewakuowany z kraju i przez Berlin Zachodni przedostał się do Stanów Zjednoczonych. Po ucieczce sąd wojskowy w Warszawie skazał go na karę śmierci i zdegradował. Wyrok wydany na Kuklińskiego został dopiero uchylony w 1995 roku decyzją Izby Wojskowej Sądu Najwyższego. W tym samym roku wszczęto ponowne śledztwo w sprawie pułkownika, które zostało umorzone w 1997 roku przez Naczelną Prokuraturę Wojskową.

Po przybyciu do Stanów Zjednoczonych Kukliński mianowany został ekspertem Departamentu Obrony i Departamentu Stanu oraz otrzymał stopień pułkownika armii amerykańskiej. Zmarł 11 lutego 2004 roku na udar mózgu w Tampie na Florydzie. Ceremonia żałobna odbyła się na amerykańskim cmentarzu narodowym Arlington, a urnę z prochami pułkownika przywiózł do Polski prof. Józef Szaniawski. Ryszard Kukliński pochowany został przy Alei Zasłużonych Cmentarza Wojskowego na warszawskich Powązkach.



Strajki w Radomiu, Płocku i Ursusie



Narastające od połowy lat 70. trudności gospodarcze Polski Ludowej, wynikające z nieprzemysłanej polityki kredytowej prowadzonej przez Edwarda Gierka, przełożyły się na coraz bardziej widoczne napięcia społeczne. 24 czerwca 1976 roku w transmitowanym przez telewizję i radio przemówieniu sejmowym premier Piotr Jaroszewicz zapowiedział podwyżki cen żywności.

Przewidywano wzrost cen mięsa (średnio o 69%) i cukru (o 90%), jak również, w niewielkim co prawda zakresie, innych artykułów spożywczych. Skutki podwyżki miały zostać zrównoważone przez przewidywane dodatki do płac, które jednak nie tylko nie rekompensowały spadku stopy życiowej, lecz także zwiększały dysproporcje płacowe między najzamożniejszą a najuboższą częścią społeczeństwa.

Następnego dnia w całym kraju doszło do masowych protestów, które w Płocku i podwar-

szawskim Ursusie przeistoczyły się w wystąpienia uliczne. Najpoważniejsze zajścia miały miejsce w Radomiu. Sygnał do rozpoczęcia tam strajku dali pracownicy zakładów metalowych im. gen. Waltera. Sformowany przez nich pochód zasilali stopniowo pracownicy „Radoskóru”, ZNTK, Wytwórni Telefonów oraz innych, mniejszych zakładów pracy.

Demonstranci udali się pod siedzibę KW PZPR, gdzie po negocjacjach udało im się nakłonić I sekretarza Janusza Prokopiaka do przekazania rządowi w Warszawie postulatu odwołania zapowiedzianej podwyżki cen żywności. Po dwóch godzinach oczekiwania na rezultaty rozmów ze stolicą okazało się jednak, iż przedstawiciele partii na czele z Prokopiakiem zostali ewakuowani z budynku przez milicję i Służbę Bezpieczeństwa. W odpowiedzi rozdrażniony tłum zaczął niszczyć wyposażenie biur komitetu, po czym podpalił sam gmach. W związku z tym funkcjonujący w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych sztab operacji „Lato 76” skierował do Radomia oddziały ZOMO z różnych części kraju.

Doszło do dramatycznych walk na ulicach miasta, w wyniku których śmierć poniosło dwóch demonstrantów. Oprócz gmachu KW PZPR tłum zaatakował także siedziby KW MO i Urzędu Wojewódzkiego. Ponadto doszło do okradania i dewastacji sklepów. Oddziały milicji opanowały sytuację w Radomiu dopiero późnym wieczorem. Szacuje się, że w kulminacyjnym momencie protestów brało w nich udział ok. 20 tysięcy osób.

Po wycofaniu się z zapowiadanych podwyżek i uspokojeniu nastrojów w kraju kierownictwo PZPR postanowiło rozprawić się z biorącymi udział w strajkach robotnikami. Następowaly aresztowania, a zatrzymywanych przewożono do komend milicji, gdzie poddawano ich szykanom, przepuszczając przez tzw. ścieżki zdrowia (szpalery milicjantów okładających ludzi pałkami). Rozprawę z uczestnikami czerwcowych manifestacji wsparła wzmożona państwowa propaganda – zwoływano wielotysięczne wiece potępiające „warchołów” z Radomia i Ursusa oraz wyrażające poparcie dla poczynań KC PZPR.

Jednym ze znaczących następstw czerwca 1976 roku była spontanicznie organizowana pomoc dla represjonowanych robotników, która połączyła ludzi wywodzących się z różnych środowisk społecznych oraz ideowych. Współpraca ta zaowocowała w bardzo krótkim czasie powołaniem do życia Komitetu Obrony Robotników (KOR) – pierwszej w Polsce Ludowej jawnej organizacji opozycyjnej względem rządzących komunistów.

Autor: Paweł Cichocki

Gmach Dyrekcji Lasów Państwowych - w 1976 roku KW PZPR. Inscenizacja Wydarzeń Radomskich – 25 czerwca 2006, [Wikipedia](#), domena publiczna.

Monety

Zygmunta I Starego 1506 – 1548 cz.2



Grosz 1533, Toruń, Kop. 3088, Kurp. 318, Gum. 529



Grosz 1534, Gdańsk, Kop. 7303, Kurp. 455, Gum. 561



Grosz 1534, Toruń, Kop. 3089, Kurp. 328, Gum. 530, popiersie króla w koronie



Grosz 1534, Toruń, Kop. 3090, Kurp. 336, Gum. 530, popiersie króla w czepcu i koronie, defekt reliefu na rewersie



Grosz 1535, Elbląg, Kop. 7082, Kurp. 598, Gum. 582



Grosz 1535, Gdańsk, Kop. 7310, Kurp. 459, Gum. 562, odmiana z trójlistkiem po obu stronach,



Grosz 1535, Gdańsk, Kop. 7312, Kurp. 463, Gum. 562, odmiana z gwiazdką i trójlistkiem



Grosz 1535, Toruń, Kop. 3091, Kurp. 342, Gum. 531



Grosz 1538, Gdańsk, Kop. 7322, Kurp. 479, Gum. 564



Grosz 1539, Elbląg, Kop. 7084, Kurp. 608, Gum. 583



Grosz 1539, Gdańsk, Kop. 7323, Kurp. 482, Gum. 565



Grosz 1540, Elbląg, Kop. 7086, Kurp. 611, Gum. 583



Grosz 1540, Gdańsk, Kop. 7324, Kurp. 485, Gum. 566, odmiana z gwiazdką i znakiem menniczym haki



Grosz 1545, Kraków, Kop. 424, Kurp. 52, Gum. 485



Grosz 1546, Kraków, Kop. 428, Kurp. 59, Gum. 489



Grosz 1547, Kraków, Kop. 432, Kurp. 66, Gum. 491



Grosz 1547, Kraków, Kurp. -, przerywniki po obu stronach w kształcie dwukropków, po bokach liter S-T kropki



Półgrosz 1524, Wilno, Kop. 3170 R3, Kurp. 155, Gum. 512, odwrócona cyfra 4 w dacie, - rzadki

Katalog został przygotowany w oparciu o materiał dostarczony przez Poznański Dom Aukcyjny oraz Podlaski Gabinet Numizmatyczny. Przedstawione zdjęcia pozostają własnością PDA&PGN.

www.pgnum.pl

Śmierć Kazimierza Jagiellończyka



Późną wiosną 1492 roku przebywający w Wielkim Księstwie Litewskim król Kazimierz Jagiellończyk szykował się do powrotu do Polski. Wyjechawszy z Wilna, władca zachorował zaraz po przybyciu do Trok, oddalonych stamtąd o dzień drogi. Już ciężko chory dotarł do Grodna, dokąd pospiesznie wezwano *consilium* medyków. Gdy na pytanie króla o nadzieje na wyjście z niemocy ich odpowiedź brzmiała przecząco, władca filozoficznie stwierdził tylko: *Więc tedy umierać*. Śmierć Kazimierza nastąpiła 7 czerwca około godziny trzeciej nad ranem. Liczący w chwili śmierci nie-

spełna 65 lat król pochowany został w katedrze na Wawelu.

Kazimierz, urodzony w 1427 roku młodszy syn Władysława Jagiełły, został już w wieku trzynastu lat powołany na wielkksiążęcy tron litewski. Królem polskim został ostatecznie w roku 1447, a jego koronacja oznaczała koniec kilkuletniego bezkrólewia, które nastąpiło po klęsce warneńskiej i śmierci z rąk Turków jego starszego brata Władysława Warneńczyka. Kazimierz Jagiellończyk uważany jest przez wielu historyków za najwybitniejszego przedstawiciela dynastii jagiellońskiej. I rzeczywi-

ście, jego panowanie znaczyły niewątpliwe sukcesy. Największym z nich było odzyskanie po wojnie trzynastoletniej Prus Królewskich z wolnym dostępem do morza i zhołdowanie zakonu krzyżackiego. Istotną cechą jego panowania była też przemyślana polityka dynastyczna, skutkująca wprowadzeniem syna Władysława na trony Czech i Węgier oraz spokrewnienie się poprzez córki z licznymi domami panującymi, dzięki którym potomkami Jagiellonów są wszyscy obecnie panujący monarchowie Europy. Na konto korzyści można też zaliczyć poskromienie oligarchii magnackiej i oparcie polityki wewnętrznej na sojuszu ze szlachtą, dokonany co prawda kosztem zwiększenia jej przywilejów, co zapowiadało już demokrację szlachecką i mający wkrótce nastąpić rozwój polskiego parlamentaryzmu.

Współcześni króla uwiecznili go jednak nie tylko jako polityka. Pamiętający czasy monarchy kronikarz Maciej z Miechowa pisał:

Był człowiekiem zawsze wstrzemięźliwym, pił wodę, a nigdy nie kosztował wina, miodu, piwa i leków, a zapachu ich nie znosił i brzydził się nimi. (...) Łażnię i częste ćwiczenia lubił, skłonny był ucztować i jeść, a

wysilek, trudy, mrozy, dym, wiatr, upał znosił najcierpliwiej. Kler szanował, od poddanych żądał pieniędzy, o przyrzeczeniach pamiętał, był prawdomówny, pożyczki zwracał (przeł. Mariusz Paradecki).

Zachowany do dzisiaj pomnik nagrobny z pełnoplastyczną postacią zmarłego monarchy wykonał sam Wit Stwosz. Twarz króla z nagrobka, przedstawiona w pełnym blasku majestatu, choć wykrzywiona jakby niemą przedśmiertną konwulsją, świadczy nie tylko o artyzmie rzeźbiarza, lecz także o ludzkim wymiarze natury tego władcy.

A.F.

Ilustracja: Kazimierz Jagiellończyk (1447–1492). Ryc. z: *Portrety królów i znakomitych mężów polskich*, [Polona](#), Domena Publiczna.

Serwis Nauka w Polsce -
www.naukawpolsce.pap.pl.

Wojna krymska, czyli szachy pod Sewastopolem

Po wieloletniej epopei napoleońskiej Europa zaznawała pokoju dzięki porządkowi ustanowionemu w czasie Kongresu Wiedeńskiego. Gwarantem tego systemu miała być tzw. Święta Liga – związek państw europejskich broniących istniejącego *status quo*. Innymi słowy, jakiegokolwiek gwałtowne zmiany w Europie (czyli rewolucje) miały być surowo tłumione. System ten funkcjonował mniej więcej 10 lat. Co prawda Święta Liga rękoma Francuzów stłumiła wystąpienia rewolucyjne w Hiszpanii, jednak wojna o niepodległość Grecji zrewidowała tę szlachetną ideę. Zamiast wspomóc Turcję w tłumieniu rebelii, mocarstwa wsparły wysiłki insurgentów przeciwko jakby nie patrzeć legalnej władzy. Cóż, gdy w grę wchodziły interesy, ideały odchodziły na bok...

Żandarm i chory człowiek Europy



Car Mikołaj I (domena publiczna).

Celem Rosji od czasów Katarzyny Wielkiej były Cieśniny Bosfor i Dardanele. Oddziały rosyjskie, które wykazały się odwagą i walecznością we wcześniejszych walkach, w latach 20. XIX wieku po raz kolejny ruszyły do boju przeciw Turkom. Prowadzili je dwaj feldmarszałkowie, którzy w przyszłości mieli się zapisać w polskiej pamięci historycznej – Iwan Dybicz, który za zwycięstwo pod Kulewczą otrzymał tytuł „Zabałkańskiego” (armia rosyjska po bitwie podchodziła pod Konstantynopol) oraz Iwan Paskiewicz, którego postawa na drugim odcinku frontu przyniosła tytuł „Zakaukaskiego”.

Rok później obaj panowie tłumili ze zmiennym szczęściem powstanie listopadowe. Dybicz zmoła – prócz oporu Wojska Polskiego i pomysłowości Ignacego Prądzyńskiego – cholera, jednak Paskiewicz (dzięki m.in. umiejętnościom swego szefa sztabu Karla Tolla) zdołał stłumić rebelię. W późniejszych latach armia rosyjska odnosiła kolejne sukcesy, których kulminacją było zgniecenie niepodległościowych dążeń Węgrów w czasie Wiosny

Ludów (1849 r.). Nic więc dziwnego, że w trakcie jednej z większych rewii carskich żołdatów Paskiewicz miał rzec „Dawajcie tu Europę!”.

Na drugim biegunie potęgi i poważania było chylące się ku upadkowi Imperium Osmańskie. I nie był w stanie powstrzymać tego ani energiczny Selim III czy młody Mahmud II. Państwo rozchodziło się jak stary namiot, poszczególne prowincje odpadały lub rozluźniały kontakty z padyszachem. Od połowy lat 20. do początku lat 40. XIX wieku tą drogą poszedł Egipt Mehmeda Alego, a także Grecja, powoli wkraczały na nią też księstwa naddunajskie. Te ostatnie wspierała Rosja, która od połowy XVIII wieku wygrała z Turcją cztery wojny i była gotowa wygrać kolejne. Cieśniny czarnomorskie kusiły – stąd car Mikołaj I co jakiś czas sondował czy mocarstwa europejskie zgodzą się na podział tureckiego imperium. Jednak wbrew swoim działaniom i odniesionym wrażeniom nie znalazł zrozumienia, szczególnie w Londynie.

Nieufny Albion

Problem Mikołaja I polegał na tym, że mniej lub bardziej świadomie zaczął rywalizować z Brytyjczykami w rejonie ich największej perły czyli subkontynentu indyjskiego. Chodziło konkretnie o Afganistan – już wtedy wybitnie niestabilny region, którym zaczęli interesować się i Brytyjczycy i Rosjanie.

A wszystko zaczęło się od próby zdobycia przez szacha Persji miasta Herat, w czym dyskretnie wspierał go Petersburg. Nie dość dyskretnie – zauważyli to Brytyjczycy, a konkretnie niejaki Eldred Pottinger. W międzyczasie niejaki Jan Prosper Witkiewicz, stryj znanego malarza i architekta o tym samym nazwisku, nawiązał kontakty z Afgańczykami oraz udał się z misją dyplomatyczną do Kabulu na dwór tamtejszego emir Dosta Mohammeda. Ponieważ wspierani przez Brytyjczyków Sikhowie

zajęli Pendżab, Dost poczuł się zagrożony i poprosił Mikołaja I o pomoc. Brytyjski konsul w Kabulu Alexander Burnett natychmiast rozpoczął przeciwdziałania, które przyniosły nieoczekiwany skutek – Witkiewicz czekając na audiencję ministra spraw zagranicznych Karla Nesselrode popełnił samobójstwo (albo tak to miało wyglądać), zaś brytyjska Armia Indusu, złożona z sipajów Bengalskiej Rezydencji Kompanii Wschodnioindyjskiej wraz z małym dodatkiem 44. regimentu piechoty *East Essex*, zajęła w 1839 r. Kabul.



Sultan turecki Abdulmejid I (domena publiczna).

Dost Mohammed ostatecznie poddał się i pozwolił się zastąpić Shuja Shah Duranim. Inne zdanie na ten temat miał syn Dosta, Akbar, oraz dość znaczne koło miłośników strzelania do brytyjskiego czerwonego munduru. Efekt był prosty – w 1842 r. po opuszczeniu Kabulu Armia Indusu przestała dosłownie istnieć – z 16 tys. żołnierzy i cywilów do brytyjskiego garnizonu w Dżalalabadzie dotarł jedynie chirurg z oddziałów Kompanii Wschodnioindyjskiej mjr William Brydon, jakiś grecki kupiec o nazwisku Baness, a także kilku sipajów. Brytyjczycy musieli się sporo nagimnastyko-

wać aby odzyskać prestiż, co zresztą ostatecznie się nie powiodło.

Choć wszystko w miarę dobrze się skończyło, Brytyjczycy stracili zaufanie do Mikołaja I i podejrzliwie patrzyli na wszelkie carskie poczynania w rejonie jakichkolwiek szlaków biegnących do Indii.

Kłótnia dozorców

Bezpośredni powód do wojny dały dwie grupy mnichów z Jerozolimy – prawosławni i katolicy. Zamiast opiekować się wspólnie świętymi miejscami, spierali się o to kto ma do tego zaszczytu większe prawo. Koniec końców car zażądał wyłącznego prawa do opieki nad świętymi miejscami dla prawosławnych. Turcy odmówili i 16 października 1853 r. wybuchła wojna.

Nie to oczywiście było jej powodem, a raczej carskie plany rozbioru Turcji. Mikołaj I był tak pewien tych zamierzeń, że zwierzył się z tego ambasadorowi brytyjskiemu w Petersburgu George'owi Hamiltonowi Seymourowi. Brytyjczycy uznali wiarę cara w nieuchronność ostatecznego rozwiązania kwestii tureckiej za przedwczesną. Monarcha jednak gotował się na wszelkie ewentualności – wysłał co prawda admirała ks. Aleksandra Mienszykowa z uroczystym poselstwem do sułtana Abdulmecida do Stambułu z żądaniem uczynienia cara opiekunem wszystkich chrześcijan na terenie Turcji, jednak nie przyniosło ono większych efektów. Z poparciem francuskiego i brytyjskiego rezydenta sułtan delikatnie odmówił rosyjskim żądaniom. Zanosilo się na wojnę.

Ostatnia bitwa żaglowych okrętów

Car brał ją pod uwagę i miał nawet opracowany wstępny plan operacji w cieśninach. Nie zrażała go tam obecność okrętów angielskich i francuskich, wpierw jednak Flota Czarnomorska wiceadm. Pawła Nachimowa musiała zapewnić bezpieczeń-

stwo wojskom inwazyjnym. 30 XI 1853 r. 8 okrętów rosyjskich pojawiło się w zatoce portu Synopa i wykorzystując złe rozmieszczenie dział, bałagan oraz ciasnotę tureckiego szyku nowymi elipsoidalnymi granatami zapalającymi zniszczyła turecką flotę, nie ponosząc przy tym żadnych strat.

Jednocześnie nad Dunajem i na Kaukazie rozpoczęła się rosyjska ofensywa, której źle zorganizowane i wyposażone wojska tureckie nie miały jak powstrzymać. Jakiegokolwiek sukcesy tureckie były wynikiem nieudolności i chaosu po stronie rosyjskiej, chociaż męstwa Turkom nie sposób było odmówić. Wydawało się, że plan carski się ziści.

Imperia kontratakują



Marszałek polny Fitzroy Somerset lord Raglan, głównodowodzący wojsk brytyjskich na Krymie (domena publiczna).

Klęska turecka paradoksalnie bardziej zaszkodziła niż pomogła Rosjanom. Na początku 1854 r. francuskie i brytyjskie okręty wojenne wpłynęły na Bosfor. Ponieważ zima nie sprzyjała działaniom wojennym,

obie strony toczyły pojedynki dyplomatyczne, które Mikołaj I ostatecznie przegrał z kretelem. O ile było do przewidzenia, że Zachód stanie po stronie Turcji, o tyle wielkim zaskoczeniem była postawa Prus i Austrii. Fryderyk Wilhelm IV postawił na nieprzychylną neutralność, zaś Franciszek Józef – nie pomny carskiego wsparcia sprzed lat – skoncentrował wojsko na granicy z księstwami naddunajskimi, aby interweniować w razie ich inkorporacji przez Rosję.

Mikołaj miał później uznać, że obok Jana III Sobieskiego był najgłupszym polskim królem – bo ratował Habsburgów. Coś w tym było, należy jednak pamiętać, że Austriacy mieli na Bałkanach swoje interesy, Mikołaj I nie mógł więc spodziewać się innych posunięć.

Nowy zasięg wojny

Choć konflikt przeszedł do historii jako wojna krymska, działania toczyły się również na innych frontach, często bardzo odległych i egzotycznych. W 1854 r. alianckie okręty zaatakowały Pietropawłowsk na Kamczatce, jednak zostały odparte przez niewielki garnizon rosyjski. Obrońcy woleli nie kusić jednak losu i zimą 1855 r. porzucili swoje pozycje. Z kolei planowane uderzenie na Archangielsk ostatecznie zakończyło się niepowodzeniem.

W sierpniu 1854 r. na Bałtyk wpłynęła potężna armada francusko-angielska z admirałami Charlesem Napierem i Alexandrem Parseval-Deschenes na czele, która zajęła się blokowaniem rosyjskiego wybrzeża. Co prawda ostrzelano Sveaborg i forty na Wyspach Alandzkich, jednak nie odniesiono głośnego militarnego sukcesu. Udało się za to zdestabilizować rosyjską gospodarkę, a także odciągnąć uwagę Rosjan od głównego kierunku uderzenia.

Cholera jasna!

Wydawało się, że wojna rozstrzygnie się w księstwach naddunajskich. W 1854 r. ks. Michał Gorczakow na czele ponad 140 tys. żołnierzy rozpoczął tam potężną ofensywę. Wojska carskie podeszły pod Silistrę, bronioną przez 18 tys. świetnie wyszkolonych tureckich żołnierzy, w tym kozaków Michała Czajkowskiego. Po zaciętych walkach pozycyjnych Rosjanie gotowali się do generalnego szturmującego zakończyć się sukcesem. Jednak tuż przed jego rozpoczęciem przybył pod miasto feldmarszałek Paskiewicz, który nakazał odwrót z obawy przed powstaniem antyrosyjskiej koalicji.

Jak się okazało książę Warszawy (bo taki tytuł otrzymał Paskiewicz po stłumieniu polskiego powstania) miał rację – wiosną 1854 r. na Morze Czarne wpłynęły okręty alianckie, które ostrzelały Odessę. Marynarka sprzymierzonych zdobyła panowania na morzu, dzięki czemu przybyłe korpusy mogły swobodnie wybrać miejsce lądowania. Nie wiedzieć czemu obaj głównodowodzący – marszałek polny Fitzroy Somerset lord Raglan oraz marszałek Francji Jacques de Saint Arnaud wybrali akurat endemiczne tereny wokół Warny. Żołnierze zaczęli masowo chorować na cholere, co skłoniło dowództwo sprzymierzonych do zmiany celu operacji – zwłaszcza, że pod koniec lipca Rosjanie już całkowicie opuścili Mołdawię i Wołoszczyznę.

Spacer staruszka nad Almą

Ku zaskoczeniu Rosjan armada brytyjsko-francusko-turecka obrała za swój cel Krym i Sewastopol. Szok potęgowała interesująca okoliczność – alianci wylądowali w Eupatorii we wrześniu, porze raczej nietypowej dla operacji wojennych. Było to dla dowodzącego w tym rejonie ks. Mienszykowa dużym zaskoczeniem. Pospiesznie zebrano oddziały mające za zadanie zepchnięcia wroga do morza. Okazja nada-

rzyła się 20 września 1854 r. nad rzeką Alma.



Obóz sprzymierzonych w rejonie Balakławy.

Było to ciekawe starcie starego z nowym. Obie armie różniła nie tylko taktyka (angielska linia i francuski sztyk kolumnowo-tyralierski przeciwko zwartym rosyjskim kolumnom) ale i uzbrojenie. Rosjanie używali w dalszym ciągu tradycyjnych muszkietów skałkowych, zaś sprzymierzeni – gwintowanych karabinów kapiszono-
wych, dzięki którym mogli zadawać Rosjanom straty nie wchodząc w zasięg ich broni. Nie zmieniło to faktu, że bitwa była niezwykle zacięta. Główne walki stoczono o tzw. Wielką Redutę, która przechodziła z rąk do rąk. Ostatecznie utrzymali ją Brytyjczycy, zaś część wojsk rosyjskich wycofała się w wyniku... spaceru Lorda Ragłana! W czasie bitwy wybrał się on na Wzgórze Telegraficzne, aby lepiej widzieć jej przebieg. Pozycja była tak znakomita, że nakazał zatoczenie baterii dział polowych na to stanowisko. Ich ogień zasko-

czył Rosjan, którzy uznali się za oskrzydionych i rozpoczęli odwrót. Szarża kawalerii w tym momencie zakończyłaby działania na Krymie – jednak jej brytyjski dowódca George Bingham, 3. lord Lucan nie zrealizował tego zadania. Spotkał się potem z surową reprimendą Ragłana, a piechurzy zaczęli od tego dnia drwić z kawalerzystów, nazywając ich dowódcę „Lordem Patrzalskim” (*Lord Look On*).

Niepotrzebne oblężenie

Oddziały sprzymierzonych podeszły na początku października pod Sewastopol. Zamiast od razu wejść do miasta przez praktycznie niebronioną północną dzielnicę, za radą inżynierów (!), a konkretnie gen. Johna Bourgoyne’a, postanowiono obejść port i zaatakować go od południowego wschodu. Wydłużono tym samym nie tylko linie komunikacyjne (co miało się zemścić zimą) ale i samą wojnę. Obie strony szykowały się zatem do działań oblężniczych.



Szkoccy górale walczący w wojnie krymskiej (fot. Joseph Cundall, Robert Howlett, ze zbiorów Imperial War Museum, domena publiczna).

Rosjanie zbudowali wokół miasta szereg fortyfikacji polowych. Szczególnie odznaczył się w tej kwestii ppłk Edward Totten, który zastosował nowinkę podpatrzoną w czasie walk o Sylistrię, czyli okopy strzeleckie. Na polecenie wiceadm. Władimira Kornilowa zatopiono też statki, zamykając tym samym wejście do portu. Działa oraz marynarze wzmocnili garnizon, który osiągnął liczebność 32 tys. żołnierzy.

„Cienka czerwona linia” oraz nutka szaleństwa

Ks. Mienszykow próbował przyjść z odsieczą. Wpierw wysłał korpus gen. Pawła Liprandiego, aby zajął i zniszczył alianckie magazyny zaopatrzeniowe w Bałakławie. Miało to zmusić wroga do odwrotu.

18 października 1854 r. wojska rosyjskie rozpoczęły operację, której kulminacja nadeszła 25 października. Wpierw oddziały rosyjskie uderzyły i zajęły reduty tureckie w rejonie Wzgórz Nasypowych. Opór turecki dał czas Brytyjczykom na zorganizowanie się – jazda gen. Iwana Ryzowa uderzyła na gotowe do walki pododdziały 93. Regimentu Górali sir Colina Campbella, wspierane przez Turków oraz artylerię. Uformowani w dwuszereg Szkoci szybkimi salwami powstrzymali atak, jednak spontaniczną próbę kontrataku powstrzymał Campbell okrzykiem:

93.! Do cholery! Stać w miejscu i nie wariować!

Sukces Szkotów powiększyła szarża Ciężkiej Brygady sir Jamesa Scarletta. Wydawało się, że sukces jest już blisko.

Lord Raglan wydał rozkaz posłania do szarży oddziałów Lekkiej Brygady gen. Jamesa Brudenella, 7. lorda Cardigan. Rozkaz był jednak nieprecyzyjny, zaś dowodzący kawalerią lord Lucan już kilkakrotnie ośmieszył się, nie rozumiejąc lub nie wykonując rozkazów. I tym razem za

bardzo nie rozumiał o co Raglanowi chodziło. Kiedy kpt. Louis Nolan przywiózł czwarty rozkaz o treści:

Lord Raglan życzy sobie, aby kawaleria pospiesznie ruszyła naprzód – w ślad za nieprzyjacielem i nie dopuściła, by nieprzyjaciel zabrał działa – artyleria konna może towarzyszyć – francuska kawaleria po waszej lewej. Natychmiast!

podpisany przez gen. Richarda Aireya, Lucan dalej nie rozumiał jakie działa jego dowódca miał na myśli, gdyż ich po prostu nie widział. Nolan nerwowo wskazał o które działa chodzi – tyle, że w polu widzenia zauważono działa w Dolinie Północnej. Lucan uznał rozkaz za samobójczy, podobnie jak Cardigan. Obaj postanowili go jednak wykonać, nie omawiając jednak tej kwestii, gdyż od lat się nienawidzili, a jeśli dodać do tego fakt, że Lucan niedawno rozwiódł się siostrą Cardigana Anną, możemy sobie tylko wyobrazić jak chłodno panowały między nimi stosunki.

Ponad 670 kawalerzystów ruszyło do samobójczej szarży, która momentalnie znalazła się pod ogniem dział. Jako pierwszy padł Nolan. Cała akcja trwała 20 minut: Brytyjczycy wjechali do Doliny i zdobyli armaty, zostali jednak zmuszeni do odwrotu. 168 żołnierzy nie wróciło z szarży, do dalszej walki zaś było zdolnych tylko 195 jeźdźców – reszta była ranna lub straciła konie. Brygada nie otrzymała obiecane wsparcia, ich odwrót osłaniali Szaserzy Afrykańscy. Obserwujący atak gen. Pierre Bousquets stwierdził potem:

Pięknie, ale to nie jest wojna. To szaleństwo.

O katastrofę obwiniano poległego Nolana oraz tradycyjnie Lucana. Cardigan zdobył wielką sławę, czym poprawił swoją skandaliczną opinię. A sweter, który nosił w zimne dni, ochrzczone mianem kardigana – i tak zostało do dziś.



Kornet Henry John Wilkin - kawalerzysta, który przeżył szarżę Lekkiej Brygady (fot. Roger Fenton, ze zbiorów Biblioteki Kongresu, domena publiczna).

Oblężenie trwa

Mienszykow spróbował ataku jeszcze raz 5 listopada w rejonie miasteczka Inkerman. Skomplikowany plan rosyjski od początku się załamał, kiedy gen. Fiodor Soimonew źle zrozumiał polecenia dowództwa i zamiast uderzyć na prawe skrzydło Brytyjczyków, przeciął drogę innego korpusu. Skończyło się na tym, że gen. Piotr Dannenberg nakazał frontalne uderzenie na brytyjskie pozycje. Ataki zakończyły się krwawą jatką, co skłoniło Rosjan do odwrotu. Po bitwie Mienszykow został zdjęty z dowodzenia i zastąpił go gen. ks. Michał Gorczakow.

Rosjanie nie podjęli już więcej operacji zaczepnych, a sprzymierzeni kontynuowali oblężenie. Carscy żołnierze i marynarze dokonywali cudów waleczności, jednak potężna siła ognia sprzymierzonych nieubłaganie niszczyła fortyfikacje Totlebena. Jeszcze na jesieni 1854 r. od ostrzału artyleryjskiego zginął wiceadm. Kornilow, zaś w marcu 1855 r. kontr. Władimir Istomin.

Zacięte walki i szturmy odbywały się w rejonie dwóch głównych pozycji – Kurhanu Małachowskiego oraz Wielkiej Reduty. Szczególnie ciężkie straty poniesiono w czasie walk 17 i 18 czerwca 1855 r. Datę ataku w tym dniu wybrano zresztą nieprzypadkowo – była to rocznica bitwy pod Waterloo, szturm miał być więc swoistym symbolem francusko-angielskiego braterstwa broni. Na pocieszenie 16 sierpnia odparto nad rzeczką Czernaja kolejną próbę rosyjskiej odsieczy.

Jednak dla sprzymierzonych – a zwłaszcza Brytyjczyków – większym wrogiem były głód, choroby i zima. Służby kwatermistrzowskie nie działały należycie. Choć na Krym wysłano masy żywności, ciepłych ubrań, a nawet składane baraki, kwatermistrzowie brytyjscy – krymski sir James Fidler oraz londyński sir Charles Treveylan – tak sztywno trzymali się przepisów, że nie sposób było nic od nich wydobyć. Na porażającym poziomie pracowała służba zdrowia, co nie powinno dziwić – kierowano do nich najgorsze menty społeczne. Dopiero działania Florence Nightingale przyczyniły się do podniesienia prestiżu tej dziedziny w wojsku. Sama Nightingale uchodzi za matkę nowoczesnego korpusu pielęgniarek, albowiem wkładała całe serce w opiekę nad chorymi. Dzięki temu świat zapomniał o Jamajce Mary Seacole, która za własne pieniądze autentycznie leczyła i opiekowała się żołnierzami. Dopiero niedawno oddano jej należne honory.

„Czarnomorska twierdza co Rosję bro- niła, swoich synów walecznych na zaw- sze żegnała”

Ostateczny szturm przeprowadził następca Saint Arnauda marszałek Aimable Péli- sier. 7 września 1855 r. Kurchan Małachowski zdobyły oddziały gen. Patrice’a McMahona, który na rozkaz odwrotu z świeżo zajętych pozycji hardo odpowie- dział:

Tu jestem i tu zostanę!

Dzień później padła Wielka Reduta, co skłoniło Rosjan do opuszczenia miasta. Ponieważ oblegający nie zamknęli pier-

ścienia wokół twierdzy, Rosjanie opuścili miasto po kilku dniach. 349-dniowe oblężenie skończyło się.



Resztki Wielkiej Reduty po bitwie (fot. James Robertson, ze zbiorów Imperial War Museum, domena publiczna).

Był to ostatni akord wojny. Obie strony były tak wyczerpane, że zgodziły się rozpocząć rozmowy pokojowe. Do spotkania doszło na Kongresie w Paryżu, gdzie w imieniu nowego cara Aleksandra II (Mikołaj zmarł w marcu 1855 r.) Rosja zrezygnowała ze swoich czarnomorskich aspiracji. Sewastopol oraz Wyspy Alandzkie miały zostać zdemilitaryzowane, a carat miał wyzbyć się swoich ambicji wobec księstw naddunajskich oraz chęci opieki nad chrześcijanami w Turcji. Na tak łagodne warunki złożyły się rosyjskie sukcesy na Kaukazie, gdzie carscy żołnierze zdobyli m.in. Kars.

Jako ciekawostkę można dodać, że po stronie aliantów podpisali się również

przedstawiciele Królestwa Sardynii. Hr. Camille Cavour wysłał na Krym mały korpus (15 tys. żołnierzy), aby zaznaczyć swoją obecność na arenie międzynarodowej.

Świat po wojnie

Wojna krymska ostatecznie pogrzebała idee Kongresu Wiedeńskiego oraz doprowadziła do uznania cesarza Napoleona III za pełnoprawnego gracza w Europie. Turcki namiot na pewien czas został ocalony, jednak już 20 lat później zreformowana po „odwilży posewastopolskiej” Rosja pokona swego odwiecznego wroga, odzyskując częściowo utraconą pozycję. W Petersburgu dokonano również zmiany polityki zagranicznej. Choć z Prusami będą łączyć cara wspólne interesy w związku z

kwestią polską, drogi gosudara z Habsburgami na zawsze się rozeszły. Można więc uznać, że konflikt ten był pierwszym ma-

łym kamyczkiem na drodze ku polskiej niepodległości.



Kongres pokojowy w Paryżu (aut. Édouard-Louis Dubufe, domena publiczna).

Bibliografia:

- Bamgart Winfried, *The Crimean War 1853–1856*, Arnold Publishers 2002;
- Baszkiewicz Jan, *Historia Francji*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2008;
- Bazyłow Ludwik, Wieczorkiewicz Paweł, *Historia Rosji*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2010;
- Brighton Terry, *Szarża Lekkiej Brygady. Najślynniejszy atak kawalerii w historii wojskowości*, Amber, Warszawa 2006;
- Gozdawa-Gołębiowski Jan, *Od wojny krymskiej do bałkańskiej. Działania flot wojennych na morzach i oceanach w latach 1853-1914*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1985;
- Ponting Clive, *The Crimean War*, Chatto and Windus 2004;
- Klimecki Michał, *Krym 1854-55*, Bellona, Warszawa 2007;
- Tarle Evgenij Viktorovič, *Wojna krymska*, t. 1-2, Książka i Wiedza, Warszawa 1953;
- Wieczorkiewicz Paweł, *Historia wojen morskich*. t. 2: *Wiek pary*, Wydawnictwo Puls, Londyn 1995;
- Zins Henryk, *Historia Anglii*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2009.

Redakcja: Tomasz Leszkowicz

Michał Staniszewski

materiał został opublikowany na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 3.0 Polska.

miejsce pierwotnej publikacji – Portal historyczny Histmag.org

VII Wakacje z historią

3-12.08.2018
TWIERDZA KLÓDZKO

Wakacje z historią to połączenie rodzinnego wypoczynku, eksploracji oraz wolontariatu na rzecz gospodarza imprezy.

Jak co roku planujemy dla uczestników szereg atrakcji, m.in.: wycieczki, konkursy. Wśród wolontariuszy zostaną rozlosowane cenne nagrody.

Już teraz warto pomyśleć o wakacyjnym urlopie, aby wziąć udział w tym wydarzeniu. Ilość miejsc ograniczona. Decyduje kolejność zgłoszeń.

INFORMACJE I ZAPISY

www.eksplor.org
tel: 602 688 672

OSTATNIE
WOLNE MIEJSCA

ORGANIZATORZY



SPONSORZY



PATRONAT
MEDIALNY

ODKRYWCA®
SKARBY • WOJNA • HISTORIA



Austria

Austriackie, wojskowe znakowanie amunicji strzeleckiej przeznaczonej na rynek krajowy było wierną kopią systemu znakowania stosowaną do 1918 roku. Na godzinie 9 i 3 podawano pełny rok produkcji, na 12 miesiąc produkcji, a na 6 kod producenta amunicji. Od 1918 roku do roku 1938 (aneksja Austrii) zmianie ulegał wizerunek orła stosowany przez fabrykę z Wolensdorfu - po aneksji Austrii austriackiego orła zastąpiono hitlerowską "gapą".

9x25 Mauser Export



Producent: Hirtenberger Patronenfabrik, Hirtenberg. Wyprodukowano we wrześniu 1938 roku. Produkcja po aneksji Austrii.

8x56 R Mannlicher



Producent: Hirtenberger Patronenfabrik, Hirtenberg. Wyprodukowano w sierpniu 1938 roku. Produkcja po aneksji Austrii.



Producent: Hirtenberger Patronenfabrik, Hirtenberg; wyprodukowano w maju 1937 roku

8x50R Lebel



Producent: Hirtenberger Patronenfabrik, Hirtenberg; wyprodukowano w 1938 roku

6,5x54 Mannlicher Schoennauer



Producent: Hirtenberger Patronenfabrik, Hirtenberg; wyprodukowano w 1936 roku

7,7x56R Lee Enfield



Producent: Hirtenberger Patronenfabrik, Hirtenberg; wyprodukowano w 1928 roku

7,92x57 Mauser



Producent: prawdopodobnie Hirtenberger Patronen - Zündhütchen und Metallwarenfabrik, Hirtenberg. Wyprodukowano w 1924 roku.

8x50 R Mannlicher



Producent: Hirtenberger Patronen - Zündhütchen und Metallwarenfabrik, Hirtenberg. Wyprodukowano w sierpniu 1919 roku.



Producent: Georg Roth AG, Lichtenwörth; wyprodukowano w październiku 1930 roku



Producent: Hirtenberger Patronenfabrik, Hirtenberg; wyprodukowano w styczniu 1935 roku



Producent: Wöllensdorfer Werke, Wollensdorf; wyprodukowano w lutym 1922 roku

JARO



Pamiętamy o
BOHATERACH

sklep
poszukiwania.pl

Założenie Centralnej Biblioteki Wojskowej



Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-W-797

Centralna Biblioteka Wojskowa im. Marszałka Józefa Piłsudskiego została założona 13 czerwca 1919 r. rozkazem Ministra Spraw Wojskowych gen. dyw. Józefa Leśniewskiego, jako Główna Naukowa Książnica WP. Jej początków należy upatrywać w bibliotekach podręcznych, tworzonych przy polskich instytucjach i organizacjach wojskowych w czasie I wojny światowej, lecz trzon księgozbioru stanowiły pozycje z Biblioteki Wojskowej Tymczasowej Rady Stanu w Warszawie, powstałej w lutym 1917 r.

Początkowo było to 5 tysięcy woluminów, które w 1939 r. rozrosły się do liczby 500 tysięcy, co stawiało CBW na trzecim miejscu pod względem ilości zasobów wśród pozostałych bibliotek wojskowych na świecie. Szybki wzrost zbiorów biblioteki powodował, że zmieniała ona często swoje siedziby. Najpierw mieściła się w Pałacu pod Blachą, od 1925 r. w gmachu Sądów Wojskowych przy Placu Saskim, a od 1927 r. w dawnej Szkole Podchorążych przy Alejach Ujazdowskich.

Biblioteka nie była tylko miejscem pracy

naukowej oraz jednostką gromadzącą zbiory, ale również instytucją tworzącą system bibliotekarstwa wojskowego oraz pierwszy w kraju katalog centralny. CBW posiadała także osobną komórkę zajmującą się opracowywaniem bibliografii wojskowej oraz popularyzującą piśmiennictwa wojskowego; od 1921 r. wydawano tu także czasopismo pt. „Komunikat bibliograficzny”.

W zbiorach biblioteki znajdowały się depozyty z Biblioteki Rapperswilskiej, Archiwum Biblioteki Batignolskiej, czy Archiwum Powstania Styczniowego.

Pierwszym dyrektorem biblioteki był por. Marian Łodyński, który w 1933 r. przekazał tę funkcję Janowi Niezgodzie, ten zaś pełnił ją do września 1939 r. W 1943 r. Komendant Główny AK gen. Stefan Rowecki „Grot” powierzył Marianowi Łodyńskiemu zadanie odbudowy zasobów CBW. Po upadku powstania warszawskiego, działał on na rzecz zabezpieczenia ocalałych zasobów bibliotek warszawskich w Pruszkowie, po wojnie został do 1948 r. wicedyrektorem CBW. Bogate zasoby przedwojennej CBW zostały zniszczone w dziewięćdziesięciu procentach już w czasie obrony Warszawy, w dniach 24–27 IX 1939 r.

Kilkanaście tysięcy ocalałych książek przewieziono do Biblioteki Ordynacji Krasieńskich przy ul. Okólnik 3, która przetrwała powstanie warszawskie, lecz w wyniku działania specjalnego niemieckiego oddziału jej zbiory zostały celowo niemalże doszczętnie spalone. Warto podkreślić, że obecna spadkobierczyni przedwojennej CBW dopiero niedawno, po kilkudziesięciu latach funkcjonowania, przekroczyła próg 500 tysięcy woluminów zgromadzonych w okresie II Rzeczypospolitej.

Ł.D.

Fotografia: Prezydent Ignacy Mościcki w otoczeniu pracowników biblioteki. Widoczni m.in.: Bronisław Hełczyński (1. z lewej), płk Jan Głogowski (na prawo za B. Hełczyńskim), dyrektor ppłk Marian Łodyński, dr A. Lewak, por. Władysław Krotkiewski; [NAC](#).

O ile nie jest to stwierdzone inaczej, wszystkie materiały na stronie są dostępne na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#). Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Muzeum Historii Polski.

Złożenie prochów Juliusza Słowackiego na Wawelu



Z prof. Andrzejem Chojnowskim
rozmawia Wojciech Kozłowski

Dlaczego postanowiono sprowadzić prochy Słowackiego do Polski?

Myślę, że były dwa powody. Pierwszy wynikał z przekonania, że postacie ważne dla polskiej historii i kultury, które znalazły się poza krajem wbrew swojej woli albo niezależnie od niej, powinny w sensie symbolicznym wrócić na ojczystą ziemię i mieć polski pochówek. Odegrało też ważną rolę osobiste zaangażowanie Piłsudskiego, który z trzech wieszczów najbar-

ziej cenił właśnie Słowackiego. Marszałkowi odpowiadał charakterystyczny dla twórczości Słowackiego rodzaj wrażliwości, a w jego życiorysie - samotnego geniusza zwalczanego przez zawistnych rodaków - dostrzegał analogię do własnych losów. Być może chodziło także o stworzenie precedensu na przyszłość. Wawel pozostawał zamkniętym już grobowcem koronowanych władców Polski, chociaż złożono tu też między innymi szczątki Adama Mickiewicza. Piłsudski pragnął otworzyć ten grobowiec dla nowych bohaterów, a wprowadzając do katedry wawelskiej Słowackiego przedstawiał go jako poetę

"królom równego", jako "Króla Ducha", symbolizującego wielkość "ducha Polski".

Czy inicjatywa sprowadzenia prochów pochodziła bezpośrednio od Piłsudskiego, czy też pomysłodawcą był ktoś inny, a Piłsudski zgodził się ze względu na swoje upodobanie do Słowackiego?

Inicjatywa wyszła od rządu, ale Piłsudski, który sprawował wówczas funkcję premiera, był *spiritus movens* całego przedsięwzięcia. To za jego sprawą Rada Ministrów rozpoczęła we wrześniu 1926 roku dyskusję nad miejscem pochówku prochów poety, zaś w korespondencji z arcybiskupem Adamem Sapiehą nalegała na udostępnienie krypty wawelskiej katedry.

A czy samo wydarzenie - złożenie prochów Słowackiego na Wawelu - wykorzystywano politycznie, czy była to jedynie manifestacja patriotyczna?

Ceremonia ta nie została wykorzystana do bieżącej rywalizacji ani przez piłsudczyków, ani przez opozycję, która uznała uroczystość za cenną sposobność do umocnienia w społeczeństwie poczucia dumy narodowej. Niemniej Piłsudski w swoim przemówieniu zaprezentował swe *credo*, które stało się, przynajmniej po części, drogowskazem dla rządzącego obozu. Nie odmawiał on znaczenia mrówczej krzątaninie, która jest udziałem zwykłych zjadaczy chleba. Wskazywał wszakże, że przepustkę do nieśmiertelności zapewniają jedynie wielkie dokonania. Kolejne pokolenia "mościły gościńce szkieletami i pracą codzienną", pozostawiając po sobie "jeno ogólne wspomnienie, gdzie imion nie ma i nie ma nazwisk". Tam natomiast, gdzie gościńce mają zakręty, napawające ludzi małych trwogą, "stoją na załomach ol-

brzymie głazy świadczące o wielkiej prawdzie bytowania. Stoją olbrzymie głazy samotne, lecz z nazwiskami, gdy ludzie giną bezimiennie".

Piłsudski przypominał więc Polakom o znaczeniu pierwiastka duchowego w codziennej egzystencji i wzywał ich do heroizmu: człowieka nobilituje zdolność do poświęcenia dla zbiorowości, w tym zwłaszcza dla ojczyzny, oddawał cześć bohaterom minionych epok, a wreszcie nawoływał do oddania wielkości należnych jej prerogatyw.

Kilka lat po tym przemówieniu, gdy sanacja przystąpiła do reformy konstytucji, usiłowano przełożyć przesłanie Piłsudskiego na język praktyki ustrojowej. Walery Sławek wystąpił wówczas z ideą powołania tzw. Legionu Zasłużonych - kawalerowie orderów *Virtuti Militari* i Krzyża Niepodległości mieli między innymi decydować o składzie izby wyższej parlamentu. Z kolei konstytucja kwietniowa z 1935 roku czyniła każdego obywatela odpowiedzialnym "swoim honorem i swoim imieniem" za spełnienie obowiązku wzmocnienia "siły i powagi Państwa". Powiadała ona jednocześnie, że "wartością wysiłku i zasług obywatela na rzecz dobra powszechnego mierzone będą jego uprawnienia do wpływania na sprawy publiczne".

Prof. Andrzej Chojnowski - historyk, pracownik Instytutu Historycznego UW, specjalista w dziedzinie historii najnowszej.

Fotografia: orszak pogrzebowy Słowackiego na jednej z krakowskich ulic, [Narodowe Archiwum Cyfrowie](#), CC-BY-NC.

Wystawa Turcja. Zabytki UNESCO



Biuro Radcy ds. Kultury i Informacji Ambasady Turcji w Polsce serdecznie zaprasza na wystawę „Turcja. Zabytki UNESCO”. Już od 1 czerwca na Placu Wielkiej Armii Napoleona mieszkańcy Krakowa i turyści będą mogli podziwiać wystawę zdjęć poświęconą tureckim zabytkom wpisanym na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Stambuł, Góra Nemrut, Troja to zaledwie trzy z aż siedemnastu obiektów znajdujących się na tej prestiżowej liście. Spośród nich piętnaście miejsc stanowi dziedzictwo kulturowe, natomiast pozostałe dwa mają charakter kulturowo-przyrodniczy.

Najstarsze obiekty na liście

Pierwsze tureckie obiekty zostały wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO już w 1985 roku. Jednym z nich jest Wielki Meczet i szpital Divriği powstałe w XIII wieku na zamówienie emira Ahmeta Szacha i jego żony Melike Turan z rodu Mengüceklı. Wysoce skomplikowana konstrukcja sklepień i bogato rzeźbione portale mocno kontrastują z pozbawionymi wszelkich ozdób wnętrzami budynku – co czyni to miejsce wyjątkowym.

Podobnie jak Wielki Meczet – Park Narodowy Göreme i zabytki sztuki naskalnej w Kapadocji znalazły się na liście w 1985 roku. Baśniowa kraina w Turcji – bo tak możemy nazwać ten obszar – swoją niezwykłość zawdzięcza obecności tufu – charakterystycznego rodzaju skały osadowej i uformowanych z niej przez wiatr i deszcz baśniowych kominów. Jednymi z charakterystycznych atrakcji Kapadocji są podziemne miasta, a także popularne wśród turystów loty balonem o wschodzie słońca.

Wspólne dobro ludzkości

Tak niektórzy określają Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO ustanowioną w 1972 roku w Paryżu, a do stycznia 2017 roku przyjętą lub ratyfikowaną przez 193 państwa w tym Turcję – 16 marca 1983 roku. Komitet Światowego Dziedzictwa realizujący postanowienia Konwencji za główny cel stawia sobie ochronę znajdujących się na niej obiektów dziedzictwa kulturowego oraz naturalnego o „wyjątkowej powszechnej wartości dla ludzkości”.

Przyjdź i przekonaj się sam!

Wystawa poświęcona tureckim obiektom znajdującym się na liście UNESCO będzie prezentowana od **1 do 26 czerwca na Placu Wielkiej Armii Napoleona w Krakowie**. Przyjdź i przekonaj się, jakie historyczne bogactwo skrywa w sobie Turcja!

Serdecznie zapraszamy!



**panele
podłogowe**

z montażem **GRATIS**
na terenie całego kraju

www.swiatpaneli.com



Świat Paneli

Trąby powietrzne w Polsce



Już w dwóch minionych wiekach w Polsce odnotowywano trąby powietrzne, które unosiły w powietrze ludzi i zwierzęta. Wraz z ociepleniem klimatu burze będą coraz częstsze, ale trudno oszacować jak zmieni się ich intensywność – mówi dr Mateusz Taszarek „łowca burz” i prognosta z UAM.

Ekstremalne zjawiska związane z konwekcją, czyli burze i tornada to pasja dr. Mateusza Taszarka z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Naukowiec realizuje ją w teorii – prowadząc badania naukowe nad występowaniem ekstremalnych zjawisk atmosferycznych – i w praktyce – jako „łowca burz” i prognosta.

Dr Mateusz Taszarek jest laureatem programu START Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Bada warunki atmosferyczne, w jakich powstają burze i ulepsza metody ich prognozowania przy użyciu numerycznych modeli pogody. Jest autorem strony internetowej www.enwo.pl, gdzie wykonywane są prognozy zjawisk burzowych dla całej Europy na okres trzech dni.

Na początku dr Taszarek badał występowanie burz i tornad w Polsce. Podczas studiów doktorskich jego obszar badawczy objął cały kontynent europejski. Analizował wyładowania atmosferyczne, silne porywy wiatru, opady gradu oraz trąby wodne. Nawiązał współpracę z naukowcami ze Stanów Zjednoczonych. Mieli oni doświadczenie w badaniu tych zjawisk w rejonie tak zwanej „Alei Tornad”, gdzie ekstremalne burze i tornada występują najczęściej na całym świecie.

KROWY, DRZEWA I SAMOCHODY FRUWAJĄCE W POWIETRZU

„W Polsce panuje przekonanie, że trąby powietrzne to zjawisko nowe, które zaczęło występować na początku XXI wieku. Analiza zapisków historycznych wskazuje jednak na liczne raporty tego typu zjawisk na przestrzeni ostatnich 200 lat. W XIX i XX wieku wystąpiło kilkanaście silnych trąb powietrznych, które powodowały ciężkie zniszczenia w infrastrukturze, demolowały budynki i powodowały liczne ofiary śmiertelne. Inne źródła opisywały silny ruch wirowy i dobrze rozwinięty lej, który porywał w powietrze ludzi i zwierzęta. Tego typu zjawiska występowały w Polsce regularnie – średnio dwa lub trzy razy w każdej dekadzie. Dawniej tornada powodowały więcej ofiar śmiertelnych. Obecnie nie są tak śmiertelne, ponieważ budynki są solidniejsze, a społeczeństwo ma większą świadomość zagrożenia” – mówi dr Taszarek.



Jego zdaniem, zmiany klimatu spowodują, że burze będą zdarzały się częściej. Zima termiczna się skraca, a lato termiczne jest coraz dłuższe. Wraz ze wzrostem temperatury zwiększa się tempo parowania, czyli w atmosferze jest większa zawartość wilgoci. To sprawia, że częściej spełnione są warunki sprzyjające powstawaniu burz.

Za intensywność burz - na przykład pojawianie się gradu, silnego wiatru albo trąby powietrznej - odpowiada obecność prądu strumieniowego, czyli silnego przepływu powietrza na wysokości około 6-10 km. Badania wykazały, że wraz z ocieplaniem klimatu ów prąd może się przesuwać w kierunku wyższych szerokości geograficznych. To może spowodować, że w następnych kilkudziesięciu latach burze będą występowały częściej, ale z klimatologicznego punktu widzenia ich intensywność niekoniecznie wzrośnie. Dr Taszarek zastrzega, że są to tylko projekcje klimatyczne. Prąd strumieniowy może silnie meandrować, wtedy niebezpieczne burze wiatrowe oraz tornada będą raz na jakiś czas pojawiać się w Polsce. Sam

wzrost liczby burz spowoduje również wzrost częstości sytuacji prowadzących do potencjalnego zagrożenia.

Wśród trąb powietrznych, jakie zdarzają się w naszym kraju, są także trąby wodne. Są to tornado, które powstają nad zbiornikiem wodnym, czyli na przykład nad Morzem Bałtyckim. Trąby wodne mają łagodny przebieg, zazwyczaj formują się w strefie przybrzeżnej i bardzo rzadko przechodzą na ląd. Osiągają prędkość w środku wiru do około 150-200 km na godzinę. W Polsce każdego roku raportuje się kilka takich zjawisk.



HUK, BŁYSK I PIORUNY CZY... NUDNA STATYSTYKA PRZY BIURKU?

Dr Taszarek należy do stowarzyszenia Skywarn Polska - Polscy Łowcy Burz. Na co dzień „łowca burz” prowadzi żmudne, choć dla niego fascynujące analizy ogromnych baz danych meteorologicznych. Bada, w jakich warunkach atmosferycznych powstają ekstremalne zjawiska i zajmuje się ich prognozowaniem. Ale kiedy już model pokazuje dzień i godzinę, kiedy możliwe są silne burze, badacz wsiada w auto i jedzie - prosto w wir zdarzeń.

„Po tym jak opracujemy prognozy, sprawdzamy, co się dzieje w rzeczywistości w atmosferze. Obserwujemy wielkie chmury burzowe, ustalamy prędkość wiatru, wilgotność powietrza – wylicza naukowiec. – Podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych często wyjeżdżałem w teren z naukowcami z Oklahomy. Obserwowaliśmy jak tworzą się tornado i jak silne burze ewoluują w czasie. Osoba, która zdobywa takie doświadczenia, staje się lepsza w prognozowaniu i badaniu tych zjawisk. Druga strona medalu polega na tym, że wiąże się to z pasją życiową. To niesamowita adrenalina znaleźć się blisko wielkiego tornado” – przyznaje dr Taszarek.

Z wyjazdów pozostają spektakularne zdjęcia chmur i wyładowań atmosferycznych oraz poczucie spełnienia. Jednak przede wszystkim pasja naukowa znajduje zastosowanie w praktyce, bo pozwala ulepszać metody ostrzegania społeczeństwa.

Dr Taszarek stara się o wprowadzenie sprawnego systemu ostrzegania przed tornadami i silnymi burzami. Jak mówi, taki system funkcjonuje w Stanach Zjednoczonych. Eksperci, którzy mają dostęp do radarów meteorologicznych, dokładnie wiedzą, co się dzieje w chmurach i kiedy nasilają się zjawiska prowadzące do gwałtownych burz i tornad. Jeżeli uznają, że nadchodząca burza będzie bardzo niebezpieczna, wówczas wyznaczają obszar na mapie, gdzie chmura może się przemieścić w ciągu najbliższej godziny. Wszystkie osoby, które znajdują się w tym obszarze, otrzymują wiadomość na swój telefon komórkowy - i to niezależnie od tego, czy mają zainstalowaną aplikację pogodową, czy nie. Nagle ich telefon zaczyna wibrować i pojawia się informacja: "w twoim regionie znajduje się tornado, natychmiast znajdź schronienie".

„Polska posiada dobry system radarowy, który pozwala synoptykom oszacować intensywność zjawisk burzowych. Gdybyśmy mieli również system bezpośredniego ostrzegania ludzi znajdujących się w strefie zagrożenia, można by uniknąć wielu tragedii. Jako przykład możemy podać silną burzę wiatrową z 11 sierpnia 2017 roku. To była klasyczna linia szkwału. Niestety synoptycy nie dysponowali systemem, aby poinformować ludzi w strefie bezpośredniego zagrożenia. Przecież Kowalski w lesie nie ma obowiązku sprawdzania na stronach internetowych ostrzeżeń meteorologicznych. Chodzi o to, żeby ostrzeżenia znalazły jego, najprościej poprzez ustalenie geolokalizacji i wysłanie wiadomości na telefon komórkowy” – tłumaczy dr Taszarek.

Tego typu system stara się również wprowadzić Stowarzyszenie Skywarn Polska, które skupia pasjonatów meteorologii. Od 10 lat ostrzega przed gwałtownymi burzami za pośrednictwem swojej strony internetowej i profilu na Facebooku. Opracowuje prognozy siły i aktywności możliwych burz oraz określa, jaka część kraju i w jakim stopniu jest nimi zagrożona. Ostrzeżenia nie nawiązują do podziału administracyjnego, są wydawane w oparciu o aktualne dane z sieci radarów, obserwacji terenowych oraz zdjęć satelitarnych.

Synoptyk powinien znać lokalizację ludzi, którzy znajdują się w zagrożonym obszarze. Dzięki temu może przekazać im informacje o tym, że np. tworzy się tornado, które na małym obszarze może powodować ogromne zniszczenia. Dlatego niezbędne jest wprowadzenie przepisów, które umożliwią geolokalizację telefonów komórkowych i przesyłanie ostrzeżeń do osób znajdujących się w strefie największego zagrożenia. Zintegrowany system ostrzegania mógłby zminimalizować ryzyko dla osób przebywających na obszarze oddziaływania ekstremalnych zjawisk pogodowych.

PAP – Nauka w Polsce, Karolina Duszczyk

kol/ ekr/

foto: Pexels

Serwis Nauka w Polsce - www.naukawpolsce.pap.pl.

3 nieoczywiste wakacyjne kierunki, które zawrócą Ci w głowie



Według wyników OAG analizowanych przez lotniczy ośrodek badawczy CAPA, trendy wakacyjne w 2018 roku przybierają na sile. Przewiduje się, że loty do Środkowej i Wschodniej Europy będą częściej wybierane niż dobrze znane atrakcje turystyczne na Zachodzie. Czy to oznacza, że możesz w końcu przestać martwić się o punktualny przylot do Barcelony El Prat? Wątpimy, ale warto zacząć sprawdzać loty w mniej oblegane miejsca. Przedstawiamy propozycje Skycop.

Według danych Eurocontrol, aby zaspokoić rosnący popyt na usługi pasażerskiego ruchu lotniczego, europejscy przewoźnicy zwiększają swoją zdolność przewozową każdego lata średnio o 40%. Najcieplejsza pora roku jest zawsze sprawdzianem jakości, który pokazuje słabe strony współczesnego lotnictwa. W zeszłym roku zaostrzone kontrole graniczne w UE, strajki personelu pokładowego British Airways oraz akcje protestacyjne kontroli ruchu lotniczego we Francji spowodowały 25 500 opóźnień i spustoszenie w głównych europejskich portach lotniczych. Mamy nadzieję, że w tym roku sytuacja będzie inna – mówi Marius Stonkus, prezes firmy Skycop specjalizującej się w odszkodowaniach lotniczych.

Podróżni zmęczeni ciągłymi opóźnieniami i zakłóceniami coraz chętniej poszukują alternatywnych kierunków na wakacje. Skycop wybrał 3 miejsca, które oszczędzą ci nerwów i

przywrócić wiarę w wakacje. Warto zwiedzić te europejskie perełki zanim zyskają ogromną popularność.

Bled, Słowenia

Położone nad jeziorem Bled, otoczone pasmem wznoszących się ponad chmury Alp Julijskich, miasto uzdrowiskowe zapewnia niezwykle wypoczynek w samym sercu Triglavskiego Parku Narodowego. Warto wybrać się na do słynnego bajkowego kościoła na wyspie, posiedzieć nad jeziorem lub spędzić dzień spacerując po skalistym wąwozie Vintgar. Co ważne – Bled znajduje się zaledwie 30 minut jazdy samochodem od międzynarodowego lotniska w Lublanie, a autobus zawiezie cię bezpośrednio do miasteczka.

Lofoty, Norwegia

Archipelag Lofotów, choć położony jest na kole podbiegunowym u północnych wybrzeży Norwegii, to charakteryzuje się niezbyt mroźnymi temperaturami przez cały rok. Unikalna fauna i flora, szmaragdowe wybrzeża, krystaliczna woda i zapierające dech widoki sprawiają, że Lofoty są coraz chętniej wybieranym celem na wymarzone wakacje.

Kamczatka, Rosja

Tego lata Rosja spodziewa się około 3,5 miliona kibiców piłkarskich. Moskwa będzie zatłoczona i głośna, ale jeśli nie jesteś kibicem, to być może będziesz chciał odbyć lot z portu lotniczego Szeremietiewo do Pietropawłowska Kamczackiego – lotniska na Półwyspie Kamczatka. Malowniczy, słabo zaludniony region sprawi, że poczujesz się jak odkrywca. Półwysep szczyci się jednym z największych zagęszczeń populacji niedźwiedzi brunatnych na naszej planecie – trzy niedźwiedzie na jednego mieszkańca, wyśmienitymi gatunkami łososia i kawioru czerwonego. Możesz wybrać się na trekking na jednym z wulkanów lub łowienie ryb z łodzi, wokół której pływają wieloryby. Cóż za doskonała ucieczka!

Międzynarodowe lotnisko w Lublanie i moskiewskie Szeremietiewo odnotowały w ubiegłym roku dobre wyniki w zakresie punktualności, przy czym to ostatnie zostało sklasyfikowane przez OAG jako najbardziej punktualne pod względem odpraw w Europie (83,555%). Poszukiwanie nieoczywistych kierunków wakacyjnych jest więc dobrą strategią, aby uniknąć chaosu znanego z lotnisk takich jak np. Paryż-Roissy-Charles de Gaulle lub Stambuł-Atatürk. Niemniej jednak, opóźnienia, odwołania, nadkomplety i nieplanowane strajki personelu mogą się zdarzyć w dowolnym miejscu, dlatego warto znać prawa przysługujące pasażerom w sytuacji zakłóceń lotów – przypomina Marius Stonkus.

Stambuł - miasto, które musisz zobaczyć



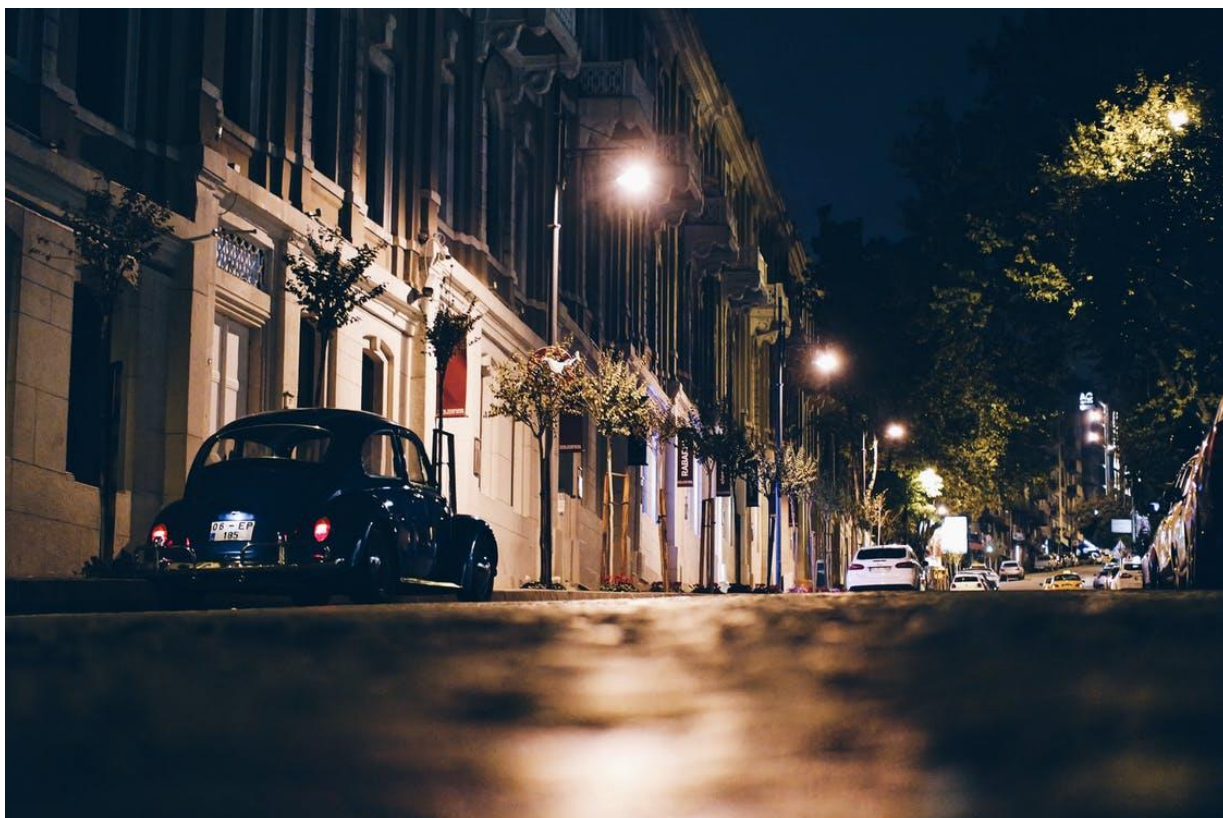
Miasto kształtowane przez burzliwą historię, położone na dwóch kontynentach, olbrzymie, kolorowe i głośnie – nie ma na świecie drugiej takiej metropolii. Aby doświadczyć Stambułu w pełni trzeba wczuć się w jego rytm, który tworzą dźwięki klaksonów, szum Bosforu i modlitwy dochodzące z meczetu. Żadne inne miejsce nie potrafi zafascynować tak jak Stambuł – najbarwniejsze i największe miasto tureckie.

Nazywany „Perłą Orientu” zachwyca swoją tajemniczością, egzotyką i zróżnicowaniem. Bez względu na to, czego się szuka, w Stambule na pewno się to znajdzie. Miłośnikom miejskiej energii zawróci w głowie gwar, zgiełk i życie toczące się w niesamowitym tempie, natomiast poszukiwacze śladów dawnych dziejów będą pod wrażeniem wspaniałych zabytków. Niezależnie od tego, do której grupy należycie,

poniżej przedstawiamy kilka miejsc, które z pewnością zrobią na Was wrażenie.

Daj się oczarować bogactwu świątyni „Hagia Sophia”

Kościół, meczet, a w końcu muzeum – tak dziś najkrócej można opisać blisko 1500-letnią historię tej monumentalnej budowli, którą najpierw wymarzył sobie, a potem kazał zbudować Justynian Wielki. Jej hi-



historia rozpoczyna się w 532 roku, choć już wiele lat wcześniej stała w tym samym miejscu świątynia, którą jednak dwukrotnie zniszczono. „Hagia Sophia” nosi miano jednego z najwspanialszych obiektów architektury z czasów pierwszego tysiąclecia naszej ery. Na odwiedzających ogromne wrażenie wywiera np. światło wpadające przez symetrycznie rozmieszczone okna, które sprawia, że przytłaczająca swoim ogromem kopuła wydaje się zawieszona w powietrzu. Każdy, kto chociaż raz odwiedzi tę świątynię nie zdziwi się słowom cesarza Justyniana, który w roku 537 podczas konsekracji wykrzyczał: „Salomonie, przewyższyłem Ciebie!”.

Przenieś się w krainę piękna w Błękitnym Meczece

Najpiękniejszy i najstynniejszy meczet w Stambule, wybudowany w latach 1609-1616 jest przykładem klasycznej architektury osmańskiej. Niezwykłości dodaje mu także sześć trzystopniowych minaretów, bowiem żaden z meczetów, oprócz „Świętego Meczetu” w Mekce, nie posiada ich

aż tyłu. Wybudowany w XVII w. na polecenie sultana Ahmeda I, w zamyśle miał przewyższać swoją potęgą i pięknem stojącą obok świątynię „Hagia Sophia”. Czy się udało? To najlepiej ocenić samemu!

Potarguj się na Wielkim Bazarze!

„Kryty Bazar” jest największym tego typu obiektem w Turcji, gdzie na powierzchni 30 ha mieści się około 4 tys. sklepów. Kupcy swoje pierwsze towary wystawiali tu już w epoce Bizancjum, jednak miejsce to było wielokrotnie niszczone przez pożary i trzęsienia ziemi. Przez wiele lat konsekwentnie je odbudowywano, a jego teraźniejszy kształt wykrystalizował się w XIX wieku. Do nabycia jest tu absolutnie wszystko – zaczynając od przypraw, przez ceramikę i dywany, na meblach kończąc. Dla statystycznego turysty „Wielki Bazar” jest płataniną wąskich uliczek, przepięknych małymi sklepikami, z których wprost wysypuje się bogactwo towaru. Będąc tam dobrze jest zaopatrzyć się w mapkę oraz przygotować się na targowanie, które dla

tureckich sprzedawców jest nieodłącznym elementem udanych zakupów.



Zobacz, jak żyli osmańscy Sułtani w „Pałacu Topkapı”

Nazwa „Topkapı” oznacza dosłownie „Bramę Armatnią” i wywodzi się od armat, które strzegły pałacu od strony morza.

Foto: 2,3 Pexels

Zajmująca powierzchnię aż 70 ha budowla sprawia, że nawet cały dzień może okazać się niewystarczający na jego zwiedzenie. Pałac stanowi kompleks budynków, pawilonów i ogrodów, które wzbudzają prawdziwy respekt i podziw w oczach turystów. Wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO jest obecnie jedną z największych atrakcji Stambułu, a także bardzo ważnym miejscem dla całego świata muzułmańskiego, ze względu na obecność relikwii Mahometa.

Kto raz odwiedził Stambuł, wspomina go przez całe życie. Błękit Bosforu, zieleń przyrody i czerwień tureckich flag stanowi mieszkankę barw, których nie sposób zapomnieć. O jego fascynującej historii na każdym kroku przypominają nam monumentalne, zabytkowe budowle. Aby jednak w pełni poczuć energię Stambułu warto czasem zejść z turystycznych szlaków i udać się w miejsca nieodkryte przez odwiedzających.

Czy wiesz, że...

- Stambuł jest największym miastem w Turcji, a jego populacja sięga ok. 15 mln.
- Stambuł to nazwa, którą miasto nosi od 1930 roku. Wcześniej było to Bizancjum, a potem Konstantynopol.
- W Stambule znajduje się 2691 czynnych meczetów.
- W czerwcu w Stambule odbywa się „Festiwal Zakupów” – Istanbul Shopping Fest, podczas którego centra handlowe oferują wspaniałe pokazy mody i towarzyszące temu koncerty oraz konkursy. Odwiedzający mogą liczyć również

Foki szare wracają do domu



© Joanna Boratyńska/WWF

We wtorek 29 maja, 4 młode foki szare zostały wypuszczone do Morza Bałtyckiego przez pracowników - Stacji Morskiej w Helu, Słowińskiego Parku Narodowego, Fundacji WWF Polska oraz wolontariuszy Błękitnego Patrolu WWF. Foki śmiało

wyszły ze specjalnych skrzyń, w których zostały przywiezione, rozejrzały się po otoczeniu, następnie ruszyły w kierunku morza. Przez kilkanaście minut trzymały się blisko brzegu i próbowały przyzwycząić się do nowej sytuacji, po czym odpłynęły ku wolności.



© Joanna Boratyńska/WWF

„Przed wypuszczeniem, foki zostały wyposażone w nadajniki satelitarne, dzięki którym będzie można śledzić trasy ich wędrówek. Na specjalnej mapie dostępnej na stronie internetowej helskiego Fokarium (<http://www.fokarium.pl>), każdy będzie mógł śledzić ich dalsze losy.

Nadajniki specjalnym klejem są przyklejone do sierści fok i odpadną w momencie linienia, czyli mniej więcej w maju przyszłego roku. Dzięki danym z nadajników uzyskujemy niezwykle ważne informacje, m.in. dotyczące miejsc przebywania fok, kierunku, zasięgu i szybkości ich wędrówek, czasu i głębokości nurkowania, a także skali antropogenicznej śmiertelności (m.in. przyłów w sieciach rybackich) i lokalizacji miejsc, w których to się dzieje. Z dotychczasowych danych wiemy na przykład, że foka potrafi pokonać dystans średnio około 110 kilometrów na dobę. Młode osobniki wybierają się na długie (nawet ponad 1000 km) i samotne wybieżki.” - mówi Maria Jujka – Radziejewicz, specjalista ds. ochrony ekosystemów morskich.

Fundacja WWF Polska we współpracy ze Stacją Morską im. Prof. Krzysztofa Skóry Instytutu Oceanografii Uniwersytetu Gdańskiego od wielu lat podejmuje działania na rzecz ochrony ssaków morskich. W ramach realizowanego obecnie, wspólnego projektu pt. „Ochrona ssaków i ptaków morskich i ich siedlisk”, Stacja Morska m.in. prowadzi rehabilitację rannych, chorych i osłabionych fok, znajdujących na polskim wybrzeżu. W pomoc fokom na plażach zaangażowany jest Błękitny Patrol WWF – ok. 200 wolontariuszy patroluje polskie wybrzeże, aby w razie potrzeby, interweniować. Dzięki nim foki szybko otrzymują niezbędną pomoc i trafiają na rehabilitację, jeśli sytuacja tego wymaga.

Ostatni, trwający mniej więcej od marca do końca maja, sezon rehabilitacyjny był wyjątkowo pracowity – na brzegu znaleziono ponad 30 wymagających pomocy szceniąt foki szarej. Były niedożywione, osłabione, chore lub ranne. W tym roku wiele z nich było bardzo młodych. Możemy jedynie domyślać się, że przyczyną takiej sytuacji mógł być np. silny sztorm na Bałtyku, któ-

ry nagle oddzielił od matek nieprzygotowane jeszcze do samodzielnego życia szczenięta. Są to jednak tylko hipotezy.

Wolontariusze Błękitnego Patrolu WWF nawet kilka razy dziennie podejmowali interwencje przy młodych, potrzebujących pomocy fokach. Pracownicy Stacji Morskiej dokładali wszelkich starań, aby przez całą dobę zapewnić jak najlepszą opiekę pacjentom foczego szpitalika i jak najszyb-

„Niestety w Bałtyku czyha na nie wiele niebezpieczeństw. Mamy nadzieję, że poradzą sobie w naturalnym środowisku i życzymy im obfitego w ryby i spokojnego życia! Rehabilitacja i wypuszczanie fok mają na celu rekompensowanie strat, jakie ich bałtycka populacja ponosi wskutek nierozważnej działalności człowieka (m.in. zanieczyszczeń morza, rybołówstwa, presji turystycznej)” – tłumaczy Maria Jujka – Radziejewicz.



Foki w Morzu Bałtyckim i ich zagrożenia

W Morzu bałtyckim występują 3 gatunki fok - foka szara, foka pospolita i foka obrączkowana. Najliczniejszym gatunkiem jest foka szara, której liczebność szacuje się na ok. 30 tys. osobników. Dużo mniej liczne są - foka pospolita (ok. 800 osobników) i foka obrączkowana (niecałe 10 tys. osobników).

ciej doprowadzić zwierzęta do stanu, w którym będą mogły powrócić do samodzielnego życia w morzu.

Niestety, jak co roku, nie wszystkim zwierzętom udaje się pomóc, niektóre - zbyt słabe i chore i przegrywają walkę.

W tym roku do Bałtyku, po udanej rehabilitacji powróciło już 19 młodych fok. Były wypuszczane z łodzi, bezpośrednio do morza. Pozostali pacjenci jeszcze nabierają sił, ale już niebawem także powrócą do swego naturalnego środowiska.

Na polskim wybrzeżu możemy spotkać przede wszystkim fokę szarą, gdzie jej jedyną ostoją w Polsce jest rezerwat *Mewia Łacha* w ujściu Wisły do Morza Bałtyckiego. Sto lat temu w Bałtyku żyło 100 tysięcy fok szarych. W latach 80. było to zaledwie 4,5 tysiąca. Wtedy foki objęto ochroną prawną, a ich populacja zaczęła się odradzać.

Na polskie wybrzeże foki powróciły po kilkudziesięcioletniej nieobecności, wciąż jednak nie znajdują tutaj odpowiednich warunków do rozrodu. Znajdowane i reha-

bilitowane foki szare przychodzą na świat poza polską częścią Bałtyku, m.in. w koloniach tego gatunku na wodach szwedzkich. W 2016 r. zaobserwowano pierwszy po wielu latach i jak dotąd jedyny przypadek narodzin szczenięcia foki szarej na polskim wybrzeżu. Foka, jak każde dzikie zwierzę, potrzebuje spokoju i przestrzeni, a na zatłoczonych, polskich plażach brakuje takich miejsc.

Samo Morze Bałtyckie - naturalne środowisko występowania fok szarych, niesie za sobą wiele niebezpieczeństw. Zanieczyszczenia osłabiają układ odpornościowy fok, przez co stają się bardziej podatne na choroby. Zagrożeniem są również sieci rybackie. Przyłów, czyli przypadkowe zaplątanie w sieci wystawione do połowu ryb w rejonach przebywania lub na trasie wędrówek fok, jest jedną z najczęstszych przyczyn śmierci tych zwierząt.

Ofiarami przyłowu najczęściej stają się młode foki, które giną w sieciach już kilka tygodni po urodzeniu. Krytycznymi miesiącami są kwiecień, maj i czerwiec. Szacuje się że wskutek przyłowu, czyli przypadkowego zaplątania się w rozstawione do połowu ryb sieci ginie ok. 700 – 800 fok rocznie.

WWF przypomina: Każdą obserwację fok należy zgłaszać do Błękitnego Patrolu WWF, dzwoniąc pod numer telefonu +48 795 536 009 lub do Stacji Morskiej UG w Helu (tel. +48 601 889 940).

Pod żadnym pozorem nie należy podchodzić do fok. Zostawmy je w spokoju i obserwujemy z daleka.

„Okres narodzin i wychowania młodych fok szarych już się zakończył, ale w czerwcu na polskim wybrzeżu mogą pojawić się także nowonarodzone foki pospolite – rodzą młode kilka miesięcy później niż foki szare. Istnieje zatem prawdopodobieństwo spotkania z foczym maluchem. W takich sytuacjach od naszego odpowiedniego zachowania może zależeć życie foki” – podsumowuje Maria Jujka – Radziejewicz.

Projekt „Ochrona ssaków i ptaków morskich i ich siedlisk” jest współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Funduszu Spójności w ramach Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko.



WYSTAWA

OD KOLEKCJONERSTWA DO MUZEALNICTWA

160-lecie pierwszej wystawy
w Muzeum Archeologicznym w Krakowie



• MUZEUM ARCHEOLOGICZNE W KRAKOWIE • UL. POSELSKA 3 •

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Patronat honorowy: Jacek Krupa
Marszałek Województwa Małopolskiego

 MAŁOPOLSKA

 RADIO
KRAKÓW

 TVP 3
KRAKÓW

 MUZEUM ARCHEOLOGICZNE
W KRAKOWIE
1850

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

 MAŁOPOLSKA

KUCHNIA POLSKA

tradycja - smak - współczesność

Zachwycająca kombinacja smaku
i tradycyjnej polskiej sztuki kulinarnej



Zapraszamy do Restauracji Ibiza

ul. Główna 100, Ludwikowice Kłodzkie, tel. 746604001